



Agata Bizuk

POŻEGNANIE
Z
Zielona 13

dla•czemu

Agata Bizuk

POŻEGANANIE
Z
Zieloną 13

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Redaktor prowadzący: Marta Burzyńska

Redakcja: Agnieszka Czapczyk

Korekta językowa: Anna Nowicka-Bala (tyleslow.pl)

Projekt okładki: Maciej Piedo

Łamanie i skład: Szymon Bolek

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2022

Wydanie I

ISBN: 978-83-67357-73-9

Zapraszamy księgarnie i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

kontakt@dlaczemu.pl

*Kamili i Grześkowi Piotrowskim,
najlepszym sąsiadom, jakich kiedykolwiek miałam.*

1

Przedziwne, w jakich okolicznościach człowiekowi może skończyć się świat. Aldonie skończył się właśnie teraz, kiedy ze spuszczonej do kostek majtkami siedziała na toalecie i wyglądała doprawdy groteskowo. Franek bawił się na podłodze łazienki, referując coś do siebie we własnym języku, a ona zastanawiała się, co dalej z nią będzie. Bo to, że Szczepan wścieknie się okrutnie, było pewne jak w banku. Zupełnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Popatrzyła smętnie na syna i westchnęła ciężko.

Prawdę mówiąc, miała nawet ochotę się rozpłakać i gdyby nie obecność dziecka, pewnie by to zrobiła. Na szkoleniu dla opiekunek uczyli ją jednak, żeby nie przenosić swoich frustracji na małego człowieka, który jak gąbka chłonie wszystkie dorosłe nastroje. Zamknęła więc oczy i policzyła w myślach do dziesięciu, a kiedy nie pomogło, jeszcze raz do dziesięciu, dwudziestu i jeszcze, dla pewności, do pięćdziesięciu. W międzyczasie poczuła, jak drętwieje jej noga, a po nagim pośladku wędruje stado mrówek. Jednak mimo tego nie miała siły podnieść się z toalety. Tu było jej wygodnie.

W ogóle lubiła własną łazienkę. Co prawda trochę szpeciła ją ogromna plama na suficie, pozostała jeszcze z czasów,

kiedy piętro wyżej mieszkała pani Stasia, ale nawet z żółtym zaciekiem łazienka była najbezpieczniejszym miejscem w całym mieszkaniu. To był jej schron i azyl, kiedy miała za dużo na głowie, kiedy Franek marudził, a cały świat здаwał się być przeciwko niej. Tu przychodziła, żeby odpocząć, pomyśleć i zwyczajnie pobyc sama, choć niestety rzadko miała ku temu okazję. Zwykle bowiem Franek na dźwięk zapalanego w łazience światła natychmiast pojawiał się przy drzwiach, wyciągając rączki do swojej mamy. Aldona zabierała go więc często ze sobą, właśnie tak jak teraz, choć zupełnie nie miała na to ochoty. Kochała własne dziecko, ale potrzebowała odrobiny samotności, nawet jeśli wiązała się ona z drętwnieniem nóg i mrówkami na pośladkach. Niestety, dzisiaj musiała przeżyć nie do końca pożądane w takiej sytuacji towarzystwo własnego dziecka.

Wróciła myślami do tego, czego dowiedziała się przed chwilą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego to znów się stało, i po raz kolejny poczuła, jak lzy zaczynają jej napływać do zmęczonych oczu. Franek już nie zwracał na nią uwagi, zajęty zabawą stadem gumowych kaczek, które zdjął z brzegu wanny. Może to i lepiej, nie musi widzieć własnej matki w takim stanie. Zresztą nikt nie powinien jej takiej teraz oglądać.

Nie, żeby nie podejrzewała, że tak to się może skończyć, zresztą właśnie w tym celu wszystko dziś sprawdziła. Ale przecież nie tak miało być. Franio jest jeszcze malutki, a ona z kolei już wcale nie taka młoda. No i Szczepan miał w końcu jakieś plany na siebie, a teraz to wszystko tak po prostu trafił szlag.

Pociągnęła głośno nosem. Na co dzień obrzydzało ją, kiedy ktoś zachowywał się w ten sposób, ale dziś uznała, że

już wszystko jej jedno. Miała ochotę na kieliszek wina. Albo lepiej, na całą butelkę. Niestety, będzie musiała zadowolić się wodą z cytryną.

Kiedy weszła cichaczem do łazienki, jeszcze miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Bez sensu w ogóle było to skradanie się, przecież w końcu każdy korzysta z toalety co najmniej kilka razy dziennie, ale Aldona po prostu czuła, że cały świat obserwuje ją w napięciu i złowrogo grozi paluszkami. Poza tym miała nadzieję, że uda się jej opanować sytuację bez wszędochy obecności swojego pierworodnego. Niestety, Franek, wiedziony chyba jakimś prastarym instynktem, w jednej sekundzie zmaterializował się przy drzwiach, cicho popłakując, w razie gdyby matka nie miała ochoty mu ulec. Uległa, choć już od pierwszej sekundy żałowała tego okrutnie. Na szczęście dziecko tymczasowo zajęło się sobą, więc Aldona mogła przystąpić do dzieła.

Delikatnie rozpakowała zawiniątko, które trzymała schowane za paskiem spodni, a potem uruchomiła machinę. Z całej siły zacisnęła powieki. Nie miała odwagi nawet spojrzeć na to, co się tam działo. Dwie minuty dłużyły się jej jak godziny. Życie zdążyło przelecieć jej przed oczami piętnaście razy, zanim w końcu usłyszała piszczenie urządzenia. Na szczęście Franek nawet nie zanotował odgłosu. Aldona otworzyła powoli oczy i spojrzała na wyświetlacz. *Ożeżkurwajapierdolę* – przemknęło jej przez myśl, ale tylko kątem oka zerknęła na dziecko i już wiedziała, że nici z soczystej ekspresji własnych emocji.

– No, urwał nać! – szepnęła do siebie zamiast tego, co niestety w niczym jej nie pomogło, ale w tej sytuacji musiało wystarczyć. Nie wolno przeklinać przy dzieciach.

– Aldonka, długo jeszcze? Bo już naprawdę nie wytrzymam. – Szczepan zapukał w drzwi łazienki. – Wiesz, sorry, ale serio muszę.

Aldona cicho pociągnęła nosem, chrząknęła i wreszcie się odezwała, jakby zupełnie nic się nie stało.

– Już wychodzę, prawie skończyłam.

Po drugiej stronie drzwi dało się słyszeć westchnienie ulgi.

– Poczekam, tylko błagam, nie za długo.

Kobieta wywróciła znacząco oczami, ale natychmiast wstała z toalety i naciągnęła majtki. Opuściła spódnicę, wymyła ręce, otarła twarz ręcznikiem i spojrzała w lustro.

– Aldono Mężyk-Zasada – powiedziała do swojego odbicia – to oczywiście, że dasz sobie radę. Jesteś kobietą, a kobiety są w stanie przetrwać wszystko. Nawet kolejną ciążę. A Szczepan... Cóż, będzie musiał zweryfikować swoje plany. W końcu sama sobie tego dziecka nie zrobiłaś.

Uśmiechnęła się do siebie sztucznie, odrzuciła włosy, po czym nacisnęła klamkę. Na pohybel!

* * *

– Ale tato, przecież mówiłem ci, że jesteśmy już po ślubie. – Jurek z Antkiem siedzieli naprzeciwko Romana i tłumaczyli mu wszystko wciąż od początku.

– Dla mnie nie jesteście! – Mężczyzna się naburmuszył.

Siedzieli przy stole i jedli pieczonego kurczaka, którego przygotował Antek. To był ich domowy rytuał, że zawsze wspólnie zjadali choć jeden posiłek w ciągu dnia. To był ich czas, na rozmowę i zwyczajne bycie razem, na co dzień bowiem każdy był zajęty swoimi sprawami. Jurek znalazł lepszą pracę, która co prawda zabierała mu sporo czasu,

ale za to dawała mnóstwo satysfakcji, Antek cały czas zajmował się domem i odkrył swoją nową pasję – gotowanie. Współ z Romanem tworzyli pyszne dania, które potem we trzech konsumowali w czasie obiadu. Jurek nawet próbował nakłonić Antka do założenia bloga kulinarnego, ale tamten twierdził, że jeszcze musi się sporo nauczyć. Niestety, Antek, przynajmniej w teorii, nie nadawał się do regularnej pracy w kuchni – mimo rehabilitacji prawdopodobnie już nigdy nie miał być zdolny do pracy fizycznej. Na razie więc oddawał się rodzinie, wymyślał nowe przepisy i częstował nimi swojego męża i teścia.

Jurek westchnął. Już nie wiedział, jak ma przekonać ojca, że ślub w Holandii jest takim samym ślubem jak ten w Polsce, ale ze względów prawnych nie mogli pobrać się tutaj. Choć naprawdę bardzo by chcieli. Niestety, do tego potrzeba otwartych umysłów i odpowiedniego prawa, a na to się niestety nie zapowiada.

– Popatrz, mamy obrączki. – Jurek podsunął ojcu pod nos serdeczny palec lewej ręki, na którym dumnie nosił złoty krążek.

Roman tylko się zachnął.

– Co to ma w ogóle być? Założyłeś sobie pierścionek na rękę, w dodatku na niewłaściwą, i myślisz, że to jest oznaka wzięcia ślubu?! Nie byłem na tym ślubie, nie widziałem, wódki z gośćmi nie piłem, więc żadnego ślubu nie było.

Jurek wywrócił oczami i westchnął ciężko.

– Mam ci pokazać certyfikat małżeństwa? – spytał. Był już naprawdę wykończony, Roman zachowywał się dziś tak, że nie szło przemówić mu do rozsądku.

Choroba bardzo dała mu się we znaki. Co prawda fizycznie doszedł już do siebie, ale za to psychika pozostawiała

wiele do życzenia. Właściwie trudno było rozpoznać dawnego Romana, ojciec bowiem zmienił się niemal całkowicie. W niektóre dni było całkiem znośnie, męczyzna jakby wracał na dawne tory, ale kolejnego poranka zupełnie nie dało się z nim dogadać. Zawsze był uparty i miał własne zdanie, czasami mimo racjonalnych argumentów, ale teraz to wszystko jeszcze bardziej się zintensyfikowało. Kiedy się na coś uparł, nie było mocnych, by w jakikolwiek sposób wytłumaczyć mu, że się myli.

Przecież na początku nawet zaakceptował fakt, że Jurek z Antkiem pobrali się w Holandii. Może wtedy nie był z tego powodu najszcześniejszym człowiekiem na Ziemi, ale przyjął to do wiadomości i w jakiś sposób się z tym pogodził. A gdy Roman zachorował, panowie chyba po raz pierwszy doszli do ściany, bo Antek nie został uznany za członka rodziny. I jakoś naturalnie wszyscy zaakceptowali fakt, że według polskiego prawa Jurek z Antkiem zawsze będą parą narzeczonych. Obiecali nawet Romanowi, że wspólnie wybiorą się do Amsterdamu odnowić przyrzeczenia małżeńskie, żeby ojciec mógł w pełni uczestniczyć w ich szczęściu.

To wszystko było tak bardzo porąbane i tak bardzo niewłaściwe, że wszyscy już odczuwali zmęczenie całą tą sytuacją. Bo w końcu w czym przeszkadzałoby umożliwienie ludziom legalizacji wspólnego życia? Dla państwa nie byłoby żadnej różnicy, a ludzie tacy jak Jurek i Antek mogliby wreszcie mieć spokojną głowę i w pełni cieszyć się życiem rodzinnym, bez kłód rzucanych pod nogi w każdym urzędzie. I tak przecież mają ciągle pod górkę, mierząc się z ostracyzmem i czasami będąc wytykanymi palcami. A nawet największa niezgoda społeczna nie jest w stanie sprawić, że dwoje ludzi po prostu przestanie się kochać.

Od dawna byli twardzi. Musieli wyhodować na sobie grubą skórę, by móc w miarę normalnie funkcjonować w świecie, który w żaden sposób nie jest dla nich przyjazny. Na szczęście mieli Romana, który, choć z trudem, jakoś przełknął i zaakceptował ich swoistą inność. A teraz, od niedawna, do ich rodzinnego teamu zaczęli powoli dołączać również rodzice Antka. Jeszcze nieśmiało i z niepełnym zrozumieniem, ale widać było małe światełko w tunelu. Przynajmniej rozmawiali, choć wciąż rzadko i niechętnie.

Tylko teraz Roman znów zaczął naciskać na ten ich ślub, którego oczywiście chcieli, ale przecież nie byli w stanie prawnie przeprowadzić.

– W dupie mam te wszystkie papierki. – Roman zaczął się wyraźnie złościć. – Zrobiliście to sami, bez rodziny, w jakiejś cholerniej Holandii. Dla mnie się nie liczy, skoro nie byłem nawet na weselu jedyne go syna.

Jurek westchnął ciężko, a Antek powoli zamknął oczy. No nie dogadają się dzisiaj.

– Tato, co cię ugryzło? Przecież rozmawialiśmy o tym już kilkanaście razy. Jak tylko w pełni dojdiesz do siebie, pojedziemy do Amsterdamu i na własne oczy zobaczysz, jak jeszcze raz się pobieramy. – Antoni w końcu włączył się w dyskusję. Musiał jakoś ratować Jurka.

– W dupie mam Amsterdam. Nigdy tam nie byłem i nigdy nie pojadę. Poza tym, smarkaczu, pomyślałeś o swoich rodzicach? Mnie zabierzecie, a ich nie? Jak oni się będą czuli?

Żaden z mężczyzn nawet nie skomentował tego *smarkacza*. W ich wieku taki przytyk był nawet uroczy. Obaj panowie popatrzyli na siebie bezradnie.

– Dobrze, to co w takim razie proponujesz? – Pierwszy odezwał się Jurek.

Roman się obruszył.

– A co ja mogę? To wy, młodzi, znacie się na tych wszystkich nowinkach.

– Jeszcze raz ci powtarzam, że nie da się wziąć takiego ślubu tu, w Polsce. Żaden urzędnik ani nawet ksiądz nam go nie udzieli. Takie jest prawo. Serio, tato, nie upieraj się, bo pewnych rzeczy po prostu nie przeskoczymy.

– A kto mówi o jakimś urzędasie? Ksiądz to już w ogóle. Wy się znacie, więc powinniście sobie poradzić. Może ta wasza, no, jak jej tam było, Justyna wam pomoże. Są te śluby humanitarne czy coś. Wymyślcie coś. Ma być wesele i już. Ja zapłacę, choćbym miał się zapożyczyć. Matka też dołoży, już o to zadbam. Zanim umrę, chcę być na weselu swojego syna. Koniec i kropka. – Roman wyraźnie się nakręcał.

– Humanistyczny ślub, nie humanitarny – poprawił go Jurek półgłosem. – Zresztą, nie mówmy o czyimkolwiek umieraniu.

– Jeden pies! – Ojciec machnął ręką, ale widać było, że oczy zaświeciły mu się na samą myśl o weselu syna. – Tak, synu, jestem już stary i w końcu przyjdzie mi umierać. To naturalna kolej rzeczy, zwłaszcza teraz, kiedy jestem już nie-dołączny. Ale jak się nie napiję wódki na tej waszej imprezie, to możecie mi wierzyć, że będę was nawiedzał. Lepiej zabierajcie się do roboty.

Antek roześmiał się lekko.

– Dobrze, tato, zrobmy to – odezwał się jako pierwszy. Jurek popatrzył na niego ze zdziwieniem. – Jeśli tak bardzo tego chcesz, weźmiemy ślub humanistyczny i będziesz honorowym gościem na naszym weselu. Niewielkim weselu, ale jednak. – Puścił oko do swojego męża.

Jurek zamknął twarz w dłoniach i z ciężkim westchnieniem pokręcił głową.

– Jesteście nienormalni – stwierdził tylko.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? – zapytał Antek z szelmowskim uśmiechem. Wyraźnie coraz bardziej zaczynała go bawić ta cała sytuacja.

Jurek pokazał rękę z obrączką.

– A czy mam jakieś inne wyjście? Już i tak się od ciebie nie uwolnię. Zresztą, już raz się oświadczałeś, więc teraz się nie wycofam.

– No. To teraz ślub, a potem to już niech się dzieje, co chce – podsumował Roman. – A teraz daj mi nóżkę, bo tak pięknie pachnie, że aż mnie skręca z głodu.

Mariolka lubiła swoje nowe mieszkanie. Tak naprawdę lubiła. Wiadomo, że w poprzednim wystroju też było jej dobrze i czuła, że to jej miejsce na świecie, ale teraz wszystko jakby zmieniło się jeszcze bardziej na plus. Justyna zadziałała jak prawdziwa czarodziejka (choć wolała, żeby nazywać ją raczej czarownicą) i razem z remontem dała Mariolce coś, o czym ta nawet nie ważyła się marzyć. Dała jej poczucie niczym niezmaconego komfortu i przynależności do tej konkretnej przestrzeni. Mariolka nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że zwykły wystrój mieszkania może tak znacząco wpłynąć na jej psychikę.

Przed wszystkim czuła się młodziej. Dużo młodziej niż wcześniej, choć dopiero dobiegała trzydziestki. W starych, babcinych wnętrzach czuła się staro, jak jakiś eksponat wystawiony w muzeum, jak stary mebel pośród tych wszystkich

przestarzałych bibelotów swojej babci. Przyzwyczała się do tej starości na tyle, że przestała zauważać swoje potrzeby w tym względzie. Miała za dużo do roboty, by przejmować się własnym komfortem psychicznym. Zresztą ten kurz z babcinych foteli już od dawna płynął w jej żyłach i z biegiem czasu stał się integralną częścią niej samej. Dopiero teraz zaczynała zauważać zmiany, które zachodziły nie tylko w jej otoczeniu, ale również w jej osobistym myśleniu i patrzeniu na świat.

Chciało jej się tańczyć, cieszyć i wariować. Wiosna nadchodziła wielkimi krokami, nie tylko za oknem, ale i w jej życiu. Zielona co prawda nie zieleniła się jeszcze, zresztą trudno było szukać jakichkolwiek oznak wiosny na smętym podwórzu za kamienicą ani, tym bardziej, na asfalcie przed budynkiem, ale za to słońce świeciło coraz radośniej.

Mariolka otworzyła szeroko okno i zaciągnęła się ciepłym, wiosennym powietrzem. Wystawiła twarz do słońca i zamknęła oczy. Promienie delikatnie pieściły jej policzki. Czuła się wspaniale, wszystko zaczynało się układać, tak jakby kolejne puzzle jej osobistej układanki same wskakiwały na właściwie miejsce.

Miała piękne mieszkanie, do którego wracała z ogromną chęcią, miała swoją firmę, która działała coraz prężniej i z której była naprawdę dumna. Miała cudnych ludzi dokoła, świetnych sąsiadów, którzy, jak się okazało, potrafili się bezinteresownie poświęcić właśnie dla niej, i miała Justynę, z którą przyjaźń zacieśniała się coraz bardziej, a której to przyjaźni nie przeszkadzały nawet więzy krwi, co niestety nieczęsto się zdarza.

Mariolka była zdecydowanie zwierzęciem stadnym i dobre relacje były jej zwyczajnie niezbędne do prawidłowego

funkcjonowania. Uwielbiała tych ludzi, swoją przestrzeń, własne wybory i coraz bardziej lubiła samą siebie. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko jednego – męskiego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć w chwilach zwątpienia, takiego kogoś, z kim chciałaby dzielić codzienne radości. Bo sukces jest ważny i fajny, ale tylko wtedy sprawia prawdziwą przyjemność, kiedy może być dzielony z kimś, kogo się kocha. A taki ktoś na razie Mariolce się nie zdarzył.

Czasem myślała o Radku, że może w jakiś sposób straciła swoją szansę na prawdziwą rodzinę. Wtedy widziała w nim jedynie zapatrzonego w siebie i żalosnego pajaca, ale zaczynała podejrzewać, że nie miała do końca racji. Teraz Radeo był zajęty Justyną i wydawało się, że całkiem nieźle im razem. Rzeczywiście się zmienił, widać było, że oszalał na punkcie jej kuzynki i robił wszystko, by tamta go pokochała. Wydawało jej się, że Justyna podchodziła do jego załotów z wrodzoną ostrożnością, ale Mariolka widziała, że angażuje się coraz bardziej. Radeo umiał uwodzić i sprawiać, że kobieta czuła się wyjątkowo. Szkoda, że sama tak szybko odrzuciła jego starania o jej serce.

Pewnie na początku źle go oceniła, bo być może całkiem wartościowy z niego człowiek, ale teraz już było za późno na takie rozważania. Radeo był zajęty i to jej osobistą kuzynką, a Mariolka nie wyobrażała sobie wtrącać się do ich szczęścia, bez względu na to, jak bardzo żałowałyby wcześniej podjętych decyzji. Było, minęło, trzeba iść naprzód.

Jeszcze raz wciągnęła w nozdrza rześkie wiosenne powietrze i pozwoliła wpaść promieniom słońca do swojego salonu.

– Wiosna, panie sierzancie! – rzuciła do siebie starym powiedzonkiem swojej babci. – To zdecydowanie będzie dobry dzień!

* * *

Radeo leżał na łóżku i gładził się po swojej napiętej jak plan-deka na żuku skórze na idealnym brzuchu. Mógł policzyć każdy mięsień i nawet nie uświadczyłby na żadnym z nich choćby najmniejszej grudki tłuszczu. Jego brzuch był doskonały, dokładnie tak samo, jak każda inna część jego boskiego ciała. Lubił tak leżeć bez koszulki i rozkoszować się własnym towarzystwem.

Pomyślał o Justynie i natychmiast poczuł wzbierającą w slipach silną erekcję. Jęknął cicho i sięgnął po telefon. Dawno już się z nią nie kontaktował, więc wypadało choćby dać o sobie znać. Nie, żeby jakoś specjalnie tęsknił, ale wiadomo – jak za długo nie będzie o sobie przypominał, to istnieje pewne niebezpieczeństwo, że panna ulotni się z kimś innym. A na to Radeo nie mógł sobie pozwolić. Justyna była bowiem jego przepustką do lepszego świata, biletem do szczęścia i wiecznej sławy.

Kiedy był u niej w sylwestra, postanowił sobie, że wykorzysta sytuację najbardziej, jak to tylko będzie możliwe, bo taka okazja już naprawdę nigdy więcej się nie powtórzy. Oczywiście w tym celu przez cały pobyt był obrzydliwie uroczy i czarujący i choć wkurzało go takie udawanie, to musiał przyznać, że działało doskonale. I to nie tylko na Justynę, szalały za nim bowiem wszystkie jej koleżanki. Nawet te jeszcze ładniejsze od Sadowskiej.

Oczywiście nie mógł powiedzieć, że Justyna była brzydka – co to, to nie, ale po pewnym czasie zdążyła już mu się na tyle opatrzeć, że z chęcią spróbowałby kogoś innego. Dużo czytał o celebryckim świątku, codziennie przeglądał najświeższe wiadomości na Pudełku, Pomponiku, Plejadzie i nawet

w Super Expressie i doskonale wiedział, że gwiazdy lubią się wymieniać partnerami. I on to pewnie też w końcu zrobi, na razie jednak jeszcze był za mało znany i nie do końca wsiąkł w to towarzystwo. Trudno się w końcu spodziewać, żeby po jednym spotkaniu nagle wszystkie miejscowe celebrytki rzuciły mu się na szyję (choć oczywiście nie miałyby nic przeciwko temu). Ale z czasem pewnie dojdzie i do tego. Póki co musiał dbać o dobre stosunki z Justyną, bo to ona była tymczasowo jego jedyną szansą. A potem już będzie mógł wybierać.

Przeturlał się na brzuch i sięgnął po telefon, który leżał na szafce nocnej. Odblokował ekran i znalazł nazwisko Justyny w jednym z komunikatorów.

„Tęsknię za tobą” – napisał szybko, po czym wysłał bez zastanowienia.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast: „Ja też za tobą tęsknię”.

Po raz kolejny połknęła haczyk, a Radeo znów poczuł, że slipy robią mu się coraz ciasniejsze. Musiał przyznać, że w tej materii Justyna sprawdzała się doskonale. W łóżku potrafiła wiele, poza tym była gibka, wysportowana i miała zabójcze nogi. Gdyby tylko o to chodziło, w zasadzie mógłby z nią zostać, ale trudno przecież wymagać monogamii, kiedy dokoła tyle pięknych i całkiem napalonych na niego lasek. Na razie jednak pomyślał, że nie dla psa kielbasa i póki co zadowolony był Justyną.

„Może zobaczymy się niedługo?” – zapytał w kolejnej wiadomości.

Tym razem na odpowiedź czekał dłuższą chwilę.

„Musiałam sprawdzić, kiedy mam przerwę w zdjęciach” – odpisała po kwadransie. „I właściwie mógłbyś przyjechać już w następnym wtorek. Moglibyśmy pojechać w jakieś

fajne miejsce. Sami, bez wścibskich spojrzeń i moich koleżanek. Co Ty na to?”

Radeo zaklął pod nosem. To nie tak miało być. Chciał pojechać do Justyny właśnie po to, by poobcować z tymi jej koleżankami, by pokazać się w świecie i nawiązać nowe znajomości. Zupełnie nie chciał być z nią sam na sam przez cały swój pobyt w Warszawie. Taka wizyta nie miała dla niego sensu, jeśli Justyna miała ukrywać go przed swoimi znajomymi. Westchnął ciężko i pokręcił z dezaprobatą głową. „Cholera, w następny wtorek mam tyle roboty, że chyba nie dam rady” – wystukał szybko na ekranie. „Myślałem raczej o odwiedzeniu cię na planie jeszcze w tym tygodniu. Przecież chyba będziesz miała jakąś przerwę, a ja na pewno nie będę przeszkadzał. Poza tym nie wiem, czy wytrzymam bez ciebie aż do kolejnego wtorku” – dodał pospiesznie, całkiem zadowolony z własnego pomysłu.

Justyna wysłała mu uśmiechniętą buźkę z serduszkami zamiast oczu. Bardzo infantylne i bardzo w jej stylu. Jednak najważniejsze, że złapała przynętę. Nie może jej teraz odpuścić.

„To jak? Mogę się pakować?” – wysłał kolejną wiadomość, jeszcze zanim odpisała.

„Tak!!!!!!”

Radeo uśmiechnął się do siebie szeroko, po czym pomasaował się po kroczu. Jeszcze dziś pojedzie do Warszawki i zostanie tam tak długo, jak to tylko możliwe. Na pewno będzie musiał wrócić przed wtorkiem, ale do tego czasu pozostaje żyć. Z Justyną albo i bez.

Czuł, że już długo nie wytrzyma. Jeszcze raz pomasaował się po kroczu, po czym niechętnie wstał z łóżka. Nie lubił tego robić w samotności, ale dzisiaj nie miał wyboru.

Cóż, są sprawy ważne i ważniejsze. Westchnął ciężko, po czym powlókł się do łazienki, zgarniając po drodze świeży ręcznik. Jak mus, to mus.

Ostatnio w *Atelier u Józka* było coraz więcej klientów. Właściciel czuł, że nareszcie dostał wiatru w skrzydła, bo biznes kręcił się z niespotykaną dotąd energią. Nie, żeby w jakikolwiek sposób przyłożył do tego rękę, po prostu to wszystko robiło się jakby samo. Ludzie przychodzili czasami z ciekawości, czasem, żeby zrobić sobie zdjęcie, a potem udostępnić je w tych swoich social mediach i tym samym zachęcić innych. A następni zachęcali kolejnych i tak oto sklep właściwie przez cały czas miał nowych klientów.

Trzeba powiedzieć, że ta cała Justyna zrobiła naprawdę dobrą robotę. Nie dość, że wyremontowała im zalany lokal, to jeszcze powiesiła nad drzwiami taki piękny szyld, że zupełnie nie było się czego wstydić. Nie, żeby Józek się kiedykolwiek wstydził, po prostu teraz wszystko wyglądało dużo schludniej, czystiej i zwyczajnie lepiej. A to oczywiście przyciągało kolejnych klientów. Co prawda po prawie czterech miesiącach od ponownego otwarcia było już nieco kurzu na butelkach, ale kto by się tym przejmował. Z tego wszystkiego tuż po świętach Józek zaopatrzył atelier w lepsze jakościowo trunki, choć na zapleczu nadal i niezmiennie bulgotał Zenkowy bimber. Dla przyjezdnych były chardonaye i inne moety, a dla stałych klientów zawsze czekały najlepsze delikatesy prosto od samego mistrza.

Klient nasz pan, więc jak jest popyt, to i wzrasta podaż – wie o tym każdy, nawet najmniej rozgarnięty przedsiębiorca.

A na popyt na najlepszy w dzielnicy trunk wyczarowany przez Zenona panowie nie mogli narzekać. Wiadomo, że teraz musieli go bardziej ukrywać, bo wścibskie spojrzenia niektórych klientów mogły im naprawdę zaszkodzić, ale póki po swojej stronie mieli Krzysztofa, nie obawiali się jakoś specjalnie nalotu funkcjonariuszy. Zresztą, za jedną butelkę moeta byli w stanie dostać nawet ze trzy stówki, więc chwila niepewności i dreszczyk emocji był zdecydowanie tego wart. A biorąc pod uwagę fakt, że w ostatnim czasie moetów i innych alkoholi z górnej półki sprzedali co najmniej kilkadziesiąt, Józek nie zamierzał narzekać. To znaczy – zamierzał, bo narzekanie miał niejako wpisane w naturę, ale akurat nie na to.

Nawet Zenek śmiał się, że stali się lokalnymi celebrytami, więc muszą trzymać fason. Ciągle zachwycał się tą całą Justyną i Józek podejrzewał nawet, że wieczorami wzdychał do jej zdjęcia, ale postanowił, że nie będzie tego komentował. Zenek swój rozum miał i nie należało wyprowadzać go z błędu. Poza tym od wzdychania jeszcze nikomu nie ubyło rozumu, a dzięki temu wspólnik zaczął o siebie dbać, częściej się golił i nawet kupił jakieś nowe ubrania. No i jakoś tak radośniej przykładał się do roboty, obsługując większość klientów, dzięki czemu i zyski były większe, i sam Józef mógł bezpiecznie chować się na zapleczu.

Od jakiegoś czasu bowiem cierpiał na przewlekły ludozłowstwo i starał się unikać wszelkich interakcji, jak tylko mógł. Zupełnie nie wiedział, skąd mu się to wzięło, w końcu przecież ostatnie miesiące były całkiem udane, no i odnowił kontakt z Julitką, co bardzo go cieszyło. Mimo wszystko czuł, że poza nią i Zenkiem nie potrzebuje do życia innych ludzi, podejrzewał nawet, że w jakiś sposób zdążył się wypalić, i mimo wszystko coraz częściej myślał

o prawdziwe emeryturze. Dlatego tym bardziej pasowało mu, że to na Zenka spadła większość obowiązków przy prowadzeniu sklepu. W razie czego będzie miał komu go zostawić.

– My teraz jesteśmy sławni jak po kuchennych rewolucjach. Tylko u nas to były rewolucje bimbrowe. I nasza Magda Gessler dużo śliczniejsza. – Zenek wparował na zaplecze po kolejnej wizycie następnych nowych klientów. Dzisiaj wyjątkowo przychodziły ich całe wycieczki.

– Co to są te całe rewolucje? – Józek nie bardzo był w temacie.

– Naprawdę nie wiesz, dziadygo jeden? Telewizji musisz więcej oglądać. To całkiem fajny program.

– Ty znowu o tej swojej telewizji. Zobaczysz, mózg ci kiedyś wyżre od tego oglądania.

– Tobie wyzarło i bez telewizora. Trzeba się rozwijać, bo jak się nie rozwijasz, to się zwijasz. A ja jeszcze zamierzam trochę pożyć, będąc przy zdrowych zmysłach.

Józek miał dość tego gadania Zenka. Splunął na dłoń i przylizął swoją pożyczkę spod pachy. Już niewiele jej zostało, zaledwie kilka marnych włosów, ale Józek dbał o nią jak zawsze. Jeśli całkiem wyłysieje, to będzie jego ostateczny koniec. Jeszcze raz przejechał dłonią po głowie, a resztę śliny z pełną pieczołowitością wtarł w włosy.

– Chociaż gazetę byś poczytał albo polityki w radiu posłuchał. – Wspólnik nie odpuszczał. – Zobaczylbyś, jak się zmienia świat, i może wyciągnąłbyś z tego jakieś wnioski, bo na razie siedzisz na tym zadupiu i tylko kasę liczysz. Po cholere ci ta kasa, do grobu jej nie zabierzesz, a twoja córka sama nie wie, gdzie wydawać własną.

Józek zamyślił się przez chwilę. W zasadzie Zenek miał całkowitą rację, ale oczywiście nigdy nie zamierzał mu tego

powiedzieć. Już i tak wspólnik rozbawił się wystarczająco, a jakby się dowiedział, że mądrze gada, to już w ogóle Józkowi nie zostałyby żadna przyjemność w życiu. Tak mógł przynajmniej spokojnie szydzić z niczego nieświadomego Zenka i choć przez chwilę poczuć się lepiej.

Póki co machnął tylko ręką.

– Wy, młodzi, myślicie, że pozjadaliście wszystkie rozumy, a tak naprawdę tylko głupoty wam w głowie. Jakieś oglądanie telewizji i te całe magiczne telefony. Nie wiem, po co to komu. Myślałem, że przynajmniej ty jesteś mądrzejszy, a tu się okazuje, że taki sam jak oni wszyscy. Nic, tylko myślenie o głupotach. Za bimber się lepiej weź, bo klienci czekają.

Zenek pokręcił głową z dezaprobatą. Coraz gorzej działo się z Józkiem. Jego zwykły, codzienny sarkazm zaczynał przybierać coraz bardziej niepokojące rozmiary. I zupełnie nie dało się już z tym facetem porozmawiać. Miał trochę dość. Owszem, lubił Józka i traktował go niemal jak rodzinę, ale przecież wszystko ma swoje granice. Józek był uparty i niczego nie dało się mu w żaden sposób przetłumaczyć. A od ostatnich świąt wyraźnie było widać, że właściciel atelier zmarniał, zasępił się i zrobił się milczący.

Odkąd się znali, nie był jakimś gadułą, ale teraz zamyślał się na dłużej albo wszystko sprowadzał do kilku prychnięć i machnięcia ręką. Zenek nawet podejrzewał, że to może być depresja czy inne cholerstwo, bo przecież biznes kręcił się jak nigdy, a i rodzinie Józefowi zaczynało się układać. Smutno było patrzeć na przyjaciela w takim stanie, ale niestety Zenon sam nie mógł nic na to poradzić. Pociągnął więc tylko nosem i poszedł nastawiać kolejny zacier do nowej partii swojego flagowego trunku.

Zupełnie niedawno wszystkie dziewczynki zaczęły już chodzić. Rozwijały się różnie, każda w swoim tempie i jak to u wieloraczków bywa, nieco później niż ich rówieśnicy. Jednak Elwira nie czuła z tego powodu żadnego niepokoju. Wszystkie cztery były zdrowe, roześmiane i jedna w rozwoju ciągnęła za sobą pozostałe. Rozkoszą było na nie patrzeć i ich matka oddawała się temu, kiedy tylko mogła.

Nigdy nie przestawały jej zdumiewać i nie mogła uwierzyć, jak wiele uczyły się każdego dnia. Rosły w oczach, a jednocześnie Elwira była pewna, że dla niej na zawsze zostaną małe dziewczynkami. Teraz siedziała na prowizorycznej ławce na placu zabaw i patrzyła na te swoje cztery cuda. Krzysztof próbował je ogarniać, ale słabo mu to szło, bo każda z córek koniecznie chciała robić coś zupełnie innego niż pozostałe. To jednak nie przeszkadzało roześmianemu tacie wygłupiać się z nimi na całego. Łaskotał je, zaczepiał i delikatnie przewracał się razem z nimi. A one, śmiejąc się głośno, wchodziły na ojca i przytulały się do niego. Było jeszcze zimno, ziemia nie zdążyła się nagrzać kwietniowym słońcem i Elwira podejrzewała, że te harce mogą nawet skończyć się katarem, ale nie reagowała. Na placu zabaw byli sami, reszta rodziców najwyraźniej uznała, że jeszcze nie czas na zabawy w plenerze, ale im to zupełnie nie przeszkadzało.

Krzysztof z dziećmi tarzali się po smętnej pozimowej trawie i nic nie robili sobie z chłodnej pogody. Elwirze było dobrze, w końcu czuła, że jest w odpowiednim miejscu swojego życia. Wystawiła twarz do słońca i zamknęła na chwilę oczy. Wszystko było tak, jak być powinno.

Z Krzysztofem też wreszcie zaczęło się układać. Chyba coś w końcu zrozumiał, bo starał się coraz bardziej. Chciał spędzać z nimi każdą chwilę, kiedy tylko nie był w pracy, włączał się w opiekę nad dziećmi. Trochę to Elwirze przeszkadzało, bo nagle okazało się, że tata wie lepiej, co komu dolega i jak efektywniej przebrać mokrą pieluchę. A nawet jeśli nie wiedział, to robił wszystko, by się wykazać. Doprawdy, czasami miała ochotę udusić go gołymi rękami, ale wyjaśnili sobie tyle, że nie zamierzała tego robić. Zbyt wiele czasu stracili, żeby teraz spierać się o głupoty. Przeżyje i te nagłe przyпіływy rodzicielskiej troski ze strony własnego męża. A jak się przyzwyczai, to może nawet nie będzie wcale tak źle.

Podniosła się z ławki i podeszła do rozbawionej gromadki. Dziewczynki były brudne, jakby ktoś celowo wykąpał je w błocie. Do tego miały zaróżowione policzki i uśmiechnięte buzie. Matka westchnęła tylko i wzruszyła ramionami.

– Brudne dzieci to szczęśliwe dzieci – mruknęła do siebie, spoglądając jednocześnie na własnego męża. – Ciekawe, co podręczniki mówią na temat brudnego męża.

Krzysztof był najbrudniejszy z nich wszystkich. Co prawda na czarnej kurtce było widać mniej błota niż na różowych okryciach wszystkich czterech dziewczynek, ale za to jasne jeansy przedstawiały obraz nędzy i rozpaczcy.

– Przecież ja tego nie dopiorę – jęknęła już tym razem na głos.

Mąż jakby obudził się z jakiegoś letargu.

– Coś mówiłaś? – zapytał, jednocześnie zdejmując ze swojego brzucha Basię.

– Mówiłam, że wyglądasz, jak siódme dziecko dozorczy – powtórzyła ulubione powiedzonko swojej matki. – Pamiętasz może, jakiego koloru są ich kurtki? – zakpiła.

Krzysztof niby groźnie zmarszczył brwi, na co Kasia z Asią jak na komendę zapiszczały radośnie i wspięły się ojcemu na kolana.

– Nie pamiętam – odparł zgodnie z prawdą. – Poza tym nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie mam jak się teraz zajmować kolorami, bo jakieś potwornie potwory na mnie wiszą – dodał szybko, po czym próbował się wreszcie pozbierać z nienajczystszej trawy, na co Stasia zareagowała dzikim wierzganiem, a Basia zmarszczyła się złowrogo, zupełnie tak, jak ojciec przed chwilą.

Elwira pokręciła głową z dezaprobatą.

– Dobra, bando, zbieramy się do domu, bo jeszcze chwila i ktoś zadzwoni po służby, że niedopilnowane i brudne dzieci snują się po placu zabaw.

– Mamo, nie bądź taka. Jeszcze chwilę – odezwał się cieniutkim głosem Krzysztof, kiedy Elwira już zbierała z ziemi ciągle wierzgającą Stasię.

– No chodź, bo jak padną w wózkach, to wiesz, jak to się skończy.

– Armagedonem! – krzyknął, jednocześnie podrzucając Kasię w powietrze. Dziewczynka roześmiała się głośno.

– Czyś ty do reszty zwariowała? – Anita Szymańska zawsze słynęła z ciętego języka i mówienia dokładnie tego, o czym właśnie myślała.

Nie owijała w bawełnę i nie udawała nikogo, kim się absolutnie nie czuła, zwłaszcza jeśli chodziło o dobro jej najbliższych przyjaciół, a za taką właśnie uważała Justynę.

Poznały się na samym początku ich wspólnej medialnej drogi. Justyna zaczynała być rozpoznawalna, a Anita dbała o to, by twarz przyszłej gwiazdy świeciła jak najjaśniejszym blaskiem. Oczywiście bez zmarszczek i zbędnych udiwnień. Wtedy sama była tuż po szkole i stawiała pierwsze kroki w wizażu, ale z czasem stałą się najbardziej zapracowaną makijażystką gwiazd.

Jednak od początku to właśnie z Justyną zaprzyjaźniła się najmocniej i tak trwały wspólnie już od lat, ramię w ramię i pędzel w twarz. Anita była nie tylko powiernicą sekretów Justyny, ale i jej swoistym sumieniem, a właściwie czymś, co to sumienie miało uciszać, Justyna bowiem o wszystkich miała wyłącznie dobre zdanie i zwykle nawet nie zauważała, kiedy ludzie zaczynali ją wykorzystywać. Dlatego tym bardziej liczyła się ze zdaniem przyjaciółki, słynącej nie tylko z dobrych pędzli i doskonałego wyczucia makijażu, ale i z najostrzejszego języka w całej branży.

– Odupść go sobie, przecież to pajac. – Justyna siedziała na fotelu w prowizorycznej garderobie na planie kolejnego odcinka serialu *Za zakrętem*, a Anita jak zwykle manipulowała przy jej twarzy. – Naprawdę nie widzisz, że ten gość jest beznadziejny?

Justyna wzruszyła ramionami.

– No dobra, może trochę brakuje mu oglądy, ale to naprawdę fajny chłopak.

– Oglądy! – prychnęła Anita, nabierając pomadkę na pędzelek. – Jemu przede wszystkim brakuje mózgu. I zacznij to wreszcie zauważać. Nie możesz być ciągle jakąś pieprzoną Matką Teresą i zabierać pod swój dach wszystkie ofiary losu. On nie jest ci do niczego potrzebny. Skąd ty go w ogóle wytrzasnęłaś?

– Mówiłam ci... – zaczęła Justyna, ale natychmiast przestała mówić, skarcona surowym spojrzeniem przyjaciółki. Westchnęła tylko cicho i wyduła wargi, żeby Anita mogła je dokładniej pomalować.

– Nie gadaj, jak cię maluję! – syknęła makijażystka. – To było pytanie retoryczne. Dobrze wiem, z której dziury go wygrzebałaś. Jak to się nazywało? – Zamyśliła się pokazowo. – Wałbrzych? Przepiękne miejsce, nawet mówią na nie odpowiednio – Mordor. Jesteś niereformowalna. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Po pierwsze, żaden mordor, tylko porządne miasto, nawet kiedyś wojewódzkie, więc przestań się czepiać. – Justyna już nie wytrzymała. Na szczęście Anita właśnie skończyła malować jej usta, więc mogła się swobodnie odzywać. – Poza tym z Wałbrzycha jest dużo sław. Aktorzy, pisarze, nawet chwilowo mieli tam noblistkę.

Anita zrobiła znudzoną minę.

– No, jak noblistkę mieli, to rzeczywiście. Nie można im niczego zarzucić. Pardon, moja pomyłka. – Podniosła ręce w poddańczym goście. – Żaden Mordor, tylko metropolia. Też na M. – Wyszczrzyła się w sztucznym uśmiechu.

– Błagam cię, przestań ironizować. Miasto jak miasto, a Radeo jest naprawdę całkiem w porządku.

– Oczywiście, że jest. Jakby mu przeciąg między uszami nie hulał, to może nawet coś by z niego było. A tak, nadaje się jedynie na kamień do kiszenia kapusty. Chociaż nawet nie, bo z pustym łbem to i ciężar za mały. Ale czekaj, ego ego dociąży. Da radę.

Justyna miała naprawdę serdecznie dość. Nie dość, że wstała wyjątkowo wcześniej, bo zaczynali zdjęcia o wschodzie słońca, to jeszcze musiała wysłuchiwać tych sarkastycznych

tekstów Anity. Nie chciało jej się słuchać tego wszystkiego. Miała własne zdanie na temat Radka. Może i był nieco nieokrzesany i rzeczywiście brakowało mu obycia w świecie, w którym ona sama poruszała się bez trudu, ale przecież dopiero do niego wchodził. To chyba normalne, że wszystko trzeba najpierw poznać, żeby potem móc się w tym czuć jak ryba w wodzie.

Radek był zdecydowanie zwierzęciem medialnym, tylko tę medialność trzeba było w nim nieco okiełznać. Na pewno był doskonałym materiałem na gwiazdę, albo przynajmniej gwiazdkę, i co do tego Justyna nie miała najmniejszych wątpliwości. Należało tylko oszlifować ten maleńki klejnot, który w nim tkwił, i wtedy bez trudu pokazać go światu. I tego zadania Justyna postanowiła się podjąć bez względu na to, co na ten temat miała do powiedzenia Anita.

– Naprawdę nie widzisz, że dla niego jesteś wyłącznie trampoliną do sławy? – Przyjaciółka tymczasem nie zamierzała odpuszczać. – Wyciśnie cię jak cytrynę i rzuci w ką.

Skończyła już makijaż i właśnie zdejmowała z ramion Justyny foliową pelerynę zabezpieczającą ubranie.

– Uważam, że jesteś do niego uprzedzona. I zupełnie nie rozumiem dlaczego. – Justyna była coraz bardziej oburzona. – Może i kusi go medialna kariera, ale zależy mu przede wszystkim na mnie. Na mnie, nie na kasie, czy sławie. Gdyby było inaczej, nie jechałby teraz przez pół Polski tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć, prawda?

– Daję mu dwa miesiące. No, może góra trzy i zobaczysz, że zaczniesz cię olewać. Aż trudno mi uwierzyć, że po tylu latach w tym syfie nadal jesteś taka naiwna.

– No właśnie nie jestem, a on z mediami nie ma nic wspólnego. Dlatego mu wierzę. Zrozum, to człowiek z zewnątrz,

nie zna tu nikogo, nie będzie nawet się starał zbliżyć do tego całego świata. To poważny człowiek, ma własne zobowiązania i swoją pracę. Nie wiem, po co miałby mieszać w mojej.

Anita wzruszyła ramionami.

– Zrobisz, jak zechcesz, tylko nie przychodź potem z płaczem do cioci Anitki, żeby leczyła twoje roztrzaskane serduszko.

– Nie przyjdę, nie martw się o mnie. – Justyna, wychodząc, cmoknęła przyjaciółkę w policzek. – Dziękuję za mejkap. Jak zwykle profesjonalny. Tylko nos ci się zaczyna tępić, bo widzisz zagrożenie tam, gdzie zupełnie nie występuje. – Uśmiechnęła się złośliwie.

Anita obróciła się za wychodzącą Justyną.

– Czekaj, mam pomysł. Założmy się o tego twojego gogusia. Jeśli w ciągu trzech miesięcy nie wpadnie w nasz syfiasty światek, nie zostawi cię i nie przeleci co najmniej tuzina lasek, to przyznam ci rację, że się srogo pomyliłam.

– I kupisz mi najdroższe wino, jakie będzie dostępne w okolicy.

– A jeśli wygram... – Anita się zamyśliła. – Jeśli wygram, to osobiście odesłesz go do tej dziury, z której go wyciągnęłaś, zasypiesz gruzem i nie pozwolisz nigdy więcej się wydostać.

Justyna prychnęła lekko.

– To zupełnie nie wchodzi w grę, ale niech będzie. – Wyciągnęła rękę. – Umowa stoi. Za trzy miesiące zobaczysz, jak bardzo się pomyliłaś.

2

– Powiedz, że żartujesz. Błagam cię... – Szczepan siedział na kanapie w salonie i ledwo łapał powietrze. – To przecież nie może być prawda.

Aldona siedziała tuż obok z ustami zaciśniętymi i wzrokiem wbitym w leżący na ławie test ciężowy. Dwie czerwone kreski niemal świeciły się pośrodku białej płytki, szydząc z ich minorowych nastrojów i pełnej napięcia atmosfery w pokoju. Na szczęście Franek już smacznie spał, nie musiał więc patrzeć na ten zbliżający się armagedon, który zdecydowanie wisiał już w powietrzu.

Prawdę mówiąc, Aldona czuła się podle. Tak, jakby to była wyłącznie jej wina, choć przecież doskonale wiedziała, że oboje przyczynili się do obecnego stanu rzeczy. Przy całej ignorancji, jaką darzyła biologię jako naukę i jak bardzo nienawidziła jej w liceum, nawet do głowy by jej nie przyszło, by wierzyć w to, że w ciężę można zająć w pojedynkę.

– Powiesz coś czy będziesz tak milczała? – Szczepan wydawał się coraz bardziej podenerwowany.

Wzruszyła ramionami.

– A co mam niby powiedzieć? Mam ci zrobić wykład o pszczołkach i kwiatuśkach czy przekonać, że dzieci znajdują się w kapuście?

– Przezań być taka sarkastyczna! – Próbował podnieść głos, ale natychmiast przypomniał sobie, że w pokoju obok śpi ich pierworodny, a budzenie dziecka, któremu już udało się zasnąć, było chyba najgorszą rzeczą, jaka mogła się zdarzyć.

Franek był złotym chłopcem, co do tego zgadzali się oboje, miał jednak zasadniczą wadę – nie lubił spać. Rytuał wieczornego usypiania go trwał zwykle koło dwóch godzin, zawierając tulenie, drapanie po plecach, mizianie, śpiewanie, czytanie bajek i znów tulenie, poprzedzone masażem i kolejnym drapaniem. Kiedy więc któremuś z rodziców udało się wreszcie obłaskawić go na tyle, by zasnął, cały dom chodził na palcach. Każde skrzypnięcie, tupnięcie czy niekontrolowany hałas powodowały natychmiastowe otwarcie się czeluści piekielnych, z których to dobywał się przeraźliwy wrzask obudzonego księcia. Nic dziwnego, że nawet teraz, będąc w stanie najwyższego wzburzenia, Szczepan nie pozwolił sobie na podniesienie głosu choćby o ton. I mimo że głu-pio tak krzyczeć szeptem, to właśnie zamierzał teraz zrobić.

– Jak to sobie wszystko wyobrażasz? – zapytał.

– A jak mam sobie wyobrażać? Stało się, przecież nie zrobiłam tego specjalnie.

– Aldona, błagam cię.

– Ale o co ci chodzi? – wybuchnęła trochę z głośno, więc natychmiast ściszyła głos do teatralnego szeptu. Doprawdy trudno klócić się w takich warunkach. – Jesteśmy dorośli, doskonale wiedzieliśmy, czym grozi seks. Wybacz, ale sama sobie w ciążę nie zaszłam. Jakby nie patrzeć, ty też maczałeś

w tym palce. Zresztą, jak się okazuje, niekoniecznie palce. – Prychnęła niekontrolowanym śmiechem.

Szczepan popatrzył na nią i zrobił dokładnie to samo. Już nie miał do tego sił. Wszystkie jego plany właśnie brały w łeb, a jego osobista żona stroiła sobie z tego żarty. Choć pewnie miała rację, w tej sytuacji zostało tylko się śmiać. Już za późno na jakąkolwiek inną reakcję.

Będą mieli dziecko. Drugie. Całkiem nowe i znowu krzyżące. To był jakiś obłąd. Szczepan kochał Franka nad życie, ale nie wyobrażał sobie drugiego takiego. Przecież zupełnie tego nie ogarnie. Oczyma wyobraźni widział, jak jedną ręką przebiera noworodka, a drugą próbuje łapać drugiego malca, pchającego właśnie palce do kontaktu. Albo próbującego dotknąć gorącego żelazka. To nie mogło się udać, zresztą widział, jaki zmarnowany chodzi Krzysiek, i nigdy mu nie zazdrościł takiej gromady. Wiadomo, że dwójka to nie czwórka, ale wystarczająco dużo, by dostać jakiejś nerwicy.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że Aldona jako jedyna w domu pracowała zawodowo. Teraz Szczepan miał szukać jakiejś konkretnej pracy, a tymczasem okazywało się, że znów zostanie w domu. Nie, żeby miał cokolwiek przeciwko byciu kurem domowym, ale takie siedzenie w domu jednak mocno nadszarpywało jego męską dumę. Miał wrócić do pracy, a Frankiem miała zająć się jedna z opiekunek agencji *Za uśmiech bombelka*. Miała, bo teraz wszystko w jednej chwili wzięło w łeb. Aldona, jako jedyna żywicielka rodziny, pewnie zaraz po macierzyńskim wróci do pracy, a Szczepan znów zostanie jak ten głupi wśród garów i pieluch.

Dopóki nie urodził się Franek, Szczepan marzył o dużej rodzinie. Może nie jakiejś wielkiej, ale na pewno nie tylko z jednym dzieckiem. Tylko jakoś nigdy się nie składało,

żeby mogli sobie z Aldoną pozwolić na powiększenie rodziny. A potem ona tak zwyczajnie zaszła w ciążę z tym przeklętym Radeo, więc musieli na nowo poukładać swój świat. I od tego czasu Szczepan zdecydowanie zrewidował własne marzenia na temat dużej rodziny. Kochał Franka i nawet niespecjalnie przeszkadzało mu, że biologicznie nie jest jego ojcem. Zajmował się nim z miłością i oddaniem, a jednocześnie czuł, że więcej z siebie nie wykrzesa. Cholera, w końcu jakiś czas temu przekroczył magiczną czterdziestkę, więc już najwyższy czas, żeby zacząć myśleć o odpoczynku, a nie o ponownym powiększaniu rodziny. Zresztą Aldona też do najmłodszych wcale nie należała. Już sobie myślał, że jakoś szybko ogarną Franka i będą w spokoju celebrować swój wiek średni, a tu nagle okazało się, że wcale niekoniecznie, bo świat przygotował dla nich całkiem inny plan.

– Przepraszam. – Przysunął się do żony i objął ją ramieniem. – To wszystko jest takie popieprzone. Zupełnie się tego nie spodziewałem.

– A myślisz, że ja się spodziewałam? Jak sobie pomyślę, co nas teraz czeka, to aż mi się robi słabo.

– Ale jesteś tego pewna, tak? – Kiwnął głową w stronę leżącego na ławie testu ciążowego. – Bo wiesz, może te testy się myślą albo przekłamują trochę. Ostatnio to już nie wiadomo, czy wierzyć medycynie, czy raczej znachorom.

Aldona pokręciła przecząco głową.

– Niestety, trudno tu o pomyłkę. Byłam pewna, że to menopauza, a tu niespodzianka. Taki święty mikołaj z okazji wiosny. W dodatku od wczoraj czuję, że coraz bardziej mnie mdli, więc to na pewno nie jest żadna pomyłka.

– Wiesz, który to tydzień? Chciałbym przynajmniej wiedzieć, ile nam jeszcze zostało względnej wolności.

– Wychodzi na to, że ósmy albo dziewiąty, nie pamiętam dokładnie, ale i tak jeszcze mamy co najmniej siedem miesięcy.

Szczepan westchnął ciężko.

– Dobra, jakoś to ogarniemy, bo przecież co innego nam zostało w tej sytuacji.

– Na to wygląda, że nic, poza wzięciem się w garść.

Szczepan jeszcze bardziej przytulił się do żony.

– Oj, matka, to nawojowaliśmy na stare lata.

Aldona roześmiała się smutno.

– Ano nawojowaliśmy – dodała.

– Ja naprawdę oszaleję! – Mariolka rzucała gromami od samego rana.

Niby wszystko układało się całkiem w porządku, ale bywały takie chwile, kiedy sama nie poznawała własnej pracy i szczerze wątpiła w swoje umiejętności. Jak na złość dziś właśnie był jeden z tych dni. Od rana ciągle coś się działo, telefon dzwonił jak opętany, a kolejne opiekunki zgłaszały następne skargi. A to malec nie chciał iść spać, kolejny właśnie dostał rozwolnienia, a następnych dwoje omal nie wbiegło pod jadący samochód, przyprawiając swoją nianię o zawal serca razem z wylewem. I każdej z opiekunek Mariolka musiała osobno tłumaczyć, jak się zachować w danej sytuacji.

W lutym dziewczyny przyjęły kilka kolejnych, nieopieczonych jeszcze niań, które wydzwaniały do swojej szefowej z każdą niemal pierdołą. Mariolka oczywiście stawiała na głowie, by je wszystkie odpowiednio wyszkolić, ale jak widać, czasem samo teoretyczne szkolenie nie było

w stanie załatwić sprawy. W prawdziwym świecie opieki nad dziećmi dziewczyny same poruszały się jak dzieci w mgłę. Na nic kursy, szkolenia i studia. To wszystko było fajne i bardzo pomocne, ale prawdziwą szkołą zawodu i niejednokrotnie życia było doświadczenie.

– Do tej pracy trzeba mieć serce i konkretne zdolności – powtarzała jej Elwira, ale Mariolka dochodziła do wniosku, że każdemu należy dać szansę. W końcu doskonale i na własnym przykładzie wiedziała, że instynkt to nie wszystko i bez solidnych podstaw nie można liczyć na konkretne zadowalające efekty.

Kiedy sama zaczynała swoją pracę i ruszała z biznesem, mogła polegać wyłącznie na własnym instynkcie. I przez jakiś czas to się sprawdzało, przynajmniej do czasu, kiedy zajmowała się wyłącznie dziećmi sąsiadki. A potem wpadła na genialny i zarazem szatański plan otworzenia własnej agencji opiekunek i nagle okazało się, że niewiele wie na temat wychowania dzieci. Przynajmniej we własnych oczach, bo rodzice niemal wrywali ją sobie z rąk, żeby tylko była w stanie zaopiekować się ich Zuzią czy Karolkiem. A Mariolka z każdym dniem coraz bardziej czuła, że jednak nie nadaje się do tego wszystkiego. Brakowało jej solidnych podstaw merytorycznych, takich na miarę superniani. W świecie opiekunek była bardziej nianią Franią z popularnego sitcomu, co w pewnym momencie zaczęło jej mocno dokuczać.

Dlatego właśnie postanowiła, że na dobre zajmie się nie tylko edukowaniem swoich pracowników, ale również samej siebie. Nikomu nie mówiła, że zapisała się na studia, a wieczorami, kiedy nikt nie widział, czytała wymiennie mądre poradniki o wychowywaniu dzieci i prowadzeniu

własnego biznesu. Pierwsze egzaminy na uczelni poszły jej nieźle, mimo urwania głowy w pracy, zalanego mieszkania, remontu, na który nie miała wpływu, i wizyty szalonej kuzynki, którą zdążyła pokochać nad życie. Liczyła, że po sesji wreszcie będzie mieć czas na chwilę odpoczynku, ale niestety nowe nianie absorbowały ją niemal w stu procentach.

Zwłaszcza dziś czuła, że za chwilę naprawdę eksploduje.

– *Za uśmiech bombelka*, agencja opiekunek, w czym mogę pomóc? – Elwira odebrała kolejne połączenie nieprzystającego dziś dzwonić telefonu.

Mariolka spojrzała na nią i wyrzuciła oczami. Naprawę miała ochotę rzucić komórką w kierunku ściany, ale pomyślała, że na nową tymczasowo nie będzie wydawać pieniędzy. Skwitowała to więc wyłącznie ciężkim westchnieniem i już miała wracać do swoich zadań, kiedy usłyszała zaskoczony głos sąsiadki.

– Mirella, o czym ty do mnie mówisz? – Elwira w jednej chwili zaczęła blednąć, a jej oczy robiły się coraz większe. – Uspokój się i wytłumacz mi to jeszcze raz. I przestań wreszcie beczeć, dziewczyno.

Mariolka zatrzymała się w pół kroku i odwróciła w stronę bladej już jak papier Elwiry.

– O co chodzi? – zapytała bezgłośnie, mając jeszcze nadzieję, że to jednak nic strasznego, a Elwirze krew odpłynęła z twarzy z zupełnie innego powodu.

Ta pokiwała tylko głową z rezygnacją i wyszła dokończyć rozmowę do drugiego pomieszczenia, bo niestety kolejny telefon już dzwonił w najlepsze.

– Mater Dei. – Mariolka westchnęła, biorąc do ręki słuchawkę bezprzewodowego aparatu. – To się chyba nigdy nie skończy.

Elwira wróciła po kwadransie, jeszcze bardziej błada niż poprzednio, choć właściwie trudno było jeszcze bardziej zblednąć.

– Obawiam się, że mamy problem – powiedziała tylko i opadła bezwładnie na stojący w kącie fotel.

* * *

Romanowi wszystko się mieszało i to tak, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Ciągle miał wrażenie, że o czymś zapomniał albo coś pomylił. Kiedyś był całkiem bystry, umiał planować, myślał logicznie i strategicznie. Zresztą musiał tak myśleć, w końcu nie bez powodu połowę swojego życia spędził w wojsku. Tam go doceniali i słuchali jego rad. I tam właśnie powierzali mu czasem bardzo trudne zadania. Nie było więc możliwości, żeby Roman był debilem. Za to teraz czuł się jak debil – odarty z resztek godności i logicznego myślenia.

Czasami wszystko było w jak najlepszym porządku, by następnego dnia nie bardzo ogarniał, gdzie jest i o czym rozmawia. Doskonale pamiętał, co robił dwadzieścia lat temu, ale zupełnie nie potrafił sobie przypomnieć, co jadł wczoraj na kolację. Bolała go głowa i to takim bólem, którego nigdy wcześniej nie doświadczał. Może nie był najsilniejszy, ale za to równie koszmarny – wwierał się Romanowi w mózg jak jakieś wiertło i nie dawał nawet chwili oddechu.

Roman nie lubił nowego siebie. Tego z bólem głowy i zanikami pamięci. Fizycznie nawet doszedł już do jako takiej formy, choć twarz jeszcze czasami wykręcała się w bolesny grymas, ale noga i ręka były całkiem sprawne. Oczywiście też nie tak jak kiedyś, ale w jego wieku większa sprawność nie była mu do niczego potrzebna. Nie zamierzał już ani

wędrować ani skakać ze spadochronem. Chciał zwyczajnie funkcjonować i spokojnie pożyć jeszcze co najmniej kilka lat. Chodził powoli, wspierając się o lasce, ale nawet to niespecjalnie go denerwowało.

Najgorsze było to, że zupełnie przestała mu smakować gorzka żołądkowa. Na dobrą sprawę nawet nie miał na nią już ochoty, ale z rozrzewnieniem wspominał, kiedy siadał w swoim ulubionym fotelu z kieliszkiem w ręce i pełną butelką w drugiej i pił, dopóki wszystkie problemy nie odeszły w siną dal.

Wódka była dla niego nie tylko pocieszycielką, ale też powierniczką jego najgłębiej skrywanych tajemnic. Może i była zła, może rzeczywiście, jak mówił Jurek, Roman się uzależnił i teraz zwyczajnie nie umiał bez niej funkcjonować, ale za to każdy łyk palącego w przełyk napoju pozwalała mu choć na chwilę zapomnieć o tym wszystkim, co go otaczało. A teraz przyszło mu przyjmować świat na żywca. I nieważne, jak bardzo byłoby źle, w żołądkowej gorzkiej już nie znajdował ukojenia.

Czasami myślał, że może warto byłoby zakończyć to wszystko, skoro choroba pozbawiła go jedynej przyjemności w tym podłym życiu. Był stary, niedołączny i nikomu niepotrzebny. Chłopakom tylko zawadzał i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, choć obaj mówili coś zupełnie innego. Celowo przepisał na nich mieszkanie i sklep, żeby po jego śmierci nie mieli problemów z jakimś durnym spadkiem.

Miał ponad siedemdziesiąt lat i czuł, że już najwyższy czas ustąpić miejsca młodym. On swoje przeżył, swoje wypił i swoje zobaczył. Poza tym obiecał sobie, że nigdy dla nikogo nie będzie ciężarem i w swoim czasie zamierzał tej obietnicy dotrzymać. Jeszcze tylko chciał zobaczyć, jak Jurek

i Antek biorą ślub, a potem naprawdę będzie mógł umierać. Nic tu po nim, a świat na trzeźwo okazywał się dla Romana zupełnie nie do przyjęcia.

Nie mógł się doczekać spotkania ze Stasią. Może na tamtym świecie wreszcie odważy się wyznać wszystko to, o czym nigdy jej nie powiedział. Wierzył, że to może się stać, w końcu próbował przynajmniej naprawiać swoje błędy tu na ziemi, więc po drugiej stronie nie powinien mieć większych problemów.

Ta myśl powodowała w Romanie uczucie ciepła w okolicy serca. I choć tak naprawdę bał się śmierci, doskonale wiedział, że kiedy przyjdzie czas, będzie na nią gotowy.

Radeo nie mógł się doczekać spotkania z Justyną. A właściwie nawet nie z nią, tylko z jej przepięknymi koleżankami. Gdyby mógł, zabrałby je wszystkie do pokoju i zrobił z nimi dokładnie to, co prawdziwy mężczyzna powinien zrobić z piękną kobietą.

Niestety, tymczasowo musiał zachowywać wszelkie pozory i przynajmniej udawać zainteresowanego wyłącznie jedną laską. Nie było najgorzej, ale na samo wyobrażenie tych wszystkich panienek robiło się Radosławowi ciepło na sercu. I nie tylko tam.

Droga do Warszawy nie była zbyt długa, bo na szczęście możliwości transportu poszły bardzo do przodu i podróż pociągiem z Wałbrzycha trwała jedynie sześć godzin. Nie było to mało, ale doskonale pamiętał, jak jechał kiedyś z matką rozklekotanym składem przez niemal cały dzień. Dzisiaj w pociągach było ciepło, całkiem przyjemnie i przede

wszystkim dużo krócej niż kiedyś. Zresztą, nawet gdyby musiał jechać dłużej, przecież i tak by pojechał. Czego się nie robi dla miłości?

Wysiadł na Centralnym i rozejrzył się dokoła. Nawet peron nie wyglądał tu jak kiedyś. Ostatnim razem podróżował z jakimiś znajomymi Justyny, więc załapał się na podwózkę, ale teraz nie chciał nadużywać ich gościnności. Poza tym umęczył się z nimi bardzo, bo przez całą drogę gadali bez sensu o rzeczach, o których Radeo nie miał bladego pojęcia. Żeby więc nie wyjść na idiotę i ignoranta, przez cały czas potakiwał tylko głową z wyrazem pełnego zrozumienia, a w duchu liczył upływające minuty. To było zupełnie bez sensu, więc uznał, że kolejnym razem po prostu wsiądzie do pociągu.

Nie lubił się męczyć, nawet jeśli to męczenie wynikało ze słuchania innych. Bo to, że znajomi Justyny byli od niego mądrzejsi, dawało się wyczuć właściwie na każdym kroku. Byli elokwentni i rozmawiali w sposób, o jakim Radeo mógł wyłącznie pomarzyć. Oczywiście rozumiał, że będzie musiał nauczyć się takiego prowadzenia konwersacji, bo w przeciwnym razie zostanie – i to całkiem słusznie – uznany za tępaka z prowincji. Nie lubił własnych niedostatków, ale w swoim otoczeniu nadrabiał urokiem, czarem i doskonałym wyglądem. Nigdy nie zajmował się własnym intelektem, bo tak naprawdę nigdy nie musiał. Czasem, kiedy wymagała tego sytuacja albo kiedy koniecznie chciał zaimponować jakiejś lasce, wybierał się na wystawę współczesnego malarstwa czy do filharmonii. I tak naprawdę nie miał najmniejszego znaczenia fakt, że jedynie udawał znajomość sztuki czy muzyki, sam fakt, że pojawiał się w takich miejscach, bardzo często wystarczał, by zrobić odpowiednie wrażenie, choć tylko on

jeden wiedział, jak bardzo się męczył. Tak naprawdę dopiero teraz zaczynał rozumieć, że jeśli chce być częścią towarzystwa Justyny, musi choćby pozornie zainteresować się tym wszystkim, czego do tej pory nie rozumiał i czym szczerze gardził.

Justyna nie zmuszała go do niczego i właściwie przyjmowała go takim, jakim był, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli chce coś w życiu osiągnąć, musi zacząć przyzwyczajać się do innych standardów. Być może będzie nawet musiał przeczytać jakąś książkę, co już w ogóle zajmowało miejsce w pierwszej piątce jego osobistego rankingu czynności głupich, niepotrzebnych i wręcz szkodliwych. Aż się wzdrygnął na samą myśl. No ale czego nie robi się dla sławy, chwały i pieniędzy.

Justyny jeszcze nie było, Radeo wyciągnął więc komórkę, żeby do niej zadzwonić. Zdecydowanie powinna już tu być, przecież obiecała. Zanim wybrał numer, podniósł rękę i powąchał się pod pachą. Nie było najgorzej, ale i tak powinien się odświeżyć. Nie lubił, kiedy cuchnęło mu spod pach albo z jakiegokolwiek innego miejsca na ciele. Co prawda samczy zapach zawsze zwabiał najlepsze samice i Radeo doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale sam nie czuł się ze sobą komfortowo, kiedy zalatywało od niego potem. Jak tylko dojadą do Justyny, na pewno się wykąpie. Cholera jasna, gdzie ona jest?

– Radziu! – Usłyszał za plecami. Justyna machała mu z daleka. Była ubrana w małą czarną i niebotycznie wysokie czerwone szpilki.

Wydawało się, że jej nogi sięgają samego nieba. Na wierzch miała zarzucony jasny płaszcz, a jej twarz była przykryta delikatnym makijażem. Radeo musiał przyznać,

że wyglądała doskonale. Poczul mimowolny skurcz w lędźwiach. Pomyślał, że tak naprawdę chyba nie mógłby z niej do końca zrezygnować.

Oczywiście, lubił swobodę i możliwość wyboru, wierność zupełnie nie wpisywała się w jego naturę, a piękne kobiety działały na niego jak magnes, ale Justyny nie chciałby się jednak pozbywać ze swojego życia. Kiedyś nawet planował się ustatkować i to przy boku Mariolki, ale kiedy dziewczyna odrzuciła go razem z pierścionkiem, stwierdził, że właściwie nie powinien się za bardzo ograniczać. W końcu każdy ma tylko jedno życie, a spędzenie go wyłącznie z jedną kobietą byłoby co najmniej marnowaniem czasu i cennego materiału genetycznego, który Radeo chciał przekazać światu w sporej ilości. Raz mu się udało, więc nie rozumiał, dlaczego miałyby się nie udać ponownie. Dlatego, choć do Justyny nic nie miał, nie zamierzał spoczywać na laurach. Teraz wystarczyła mu w zupełności, zwłaszcza że oferowała darmowy prysznic, całkiem niezły seks i pewnie coś dobrego do jedzenia. I to raczej właśnie w tej kolejności.

– Dziecko, dokąd ty się znowu wybierasz? – Józef nie mógł się nadziwić, że Julitka była taką powsinogą.

Ciągle tylko gdzieś jeździła, latała i chciała zwiedzać. Musiała wdać się w matkę. On nigdy taki nie był. W ciągu całego życia tylko raz, w połowie lat osiemdziesiątych, był w Bułgarii na saksach, ale nie bardzo mu się tam podobało. Co prawda zarobił wtedy sporo pieniędzy, nazwoził dewiz i blisko zakumplował się z tamtejszą lokalną społecznością, ale potem nie chciał już wracać.

Jakoś Bułgaria go nie urzekła. Mieszkali w siedmiu w niewykończonym małym domu bez dostępu do bieżącej wody i kuchni, który właściciele nazywali szumnie willą. Było naprawdę ciężko, zwłaszcza że nikt nie szczędził rakii ani śliwownicy. Pili codziennie i właściwie bez umiaru, Józek wrócił tuż przed tym, zanim zdążył poważnie wpaść w nałóg.

Przywiózł ze sobą masę wspomnień, pół torby dezodorantów BAC i drugie tyle olejków różanych, zapakowanych w ozdobne drewniane baryłeczki, których zresztą i tak potem nie miał komu dać. Do tego nazwoził wina, które, przynajmniej w założeniu, miało być pyszne, ale zdążyło nieco skwaśnieć przez drogę. I to się Józkowi najmniej podobało w całym wyjeździe, zwłaszcza że w tamtą stronę zabrał wszystko, co w kraju było najlepsze. Bułgarzy lubili kupować polskie ubrania, więc jechał zaopatrzony w spodnie z tureckiego dżinsu, kapy na tapczany i oczywiście mnóstwo kremu nivea. A oni odwzięczyli mu się zepsutym winem. Józef był doprawdy zde gustowany. Do tego stopnia, że poprzysiął sobie, iż więcej za granicę nie pojedzie. I dotrzymał słowa, nie wychylając więcej nosa poza własne podwórko.

Zupełnie więc nie wiedział, skąd u jego jedyne go dziecka takie ciągle zamiłowanie do podróży. Julitka mogła się szwendać bez celu i jeszcze czerpać z tego jakąś podejrzaną przyjemność. Wiedział, jakie to było złe i jak destrukcyjne mogło wpłynąć na jej młody umysł, ale postanowił to przeczekać. Przecież nie będzie mówił własnej dorosłej córce, że robi źle. Dzieci nie lubią, kiedy zwraca im się uwagę. Martwił się jednak ogromnie. W tym wieku jeszcze miały prawo trzymać się jej głupoty.

– Przecież ci mówiłam, lecimy do Dubaju. Tylko na dwa tygodnie, nie martw się.

Józek złapał się za głowę i natychmiast odruchowo przyklepał swoją pożyczkę spod pachy.

– Przecież ten Dublin to tak daleko. Nie możesz pojechać do Szczawna? Masz takie uzdrowisko pod samym nosem, a tobie się po Dublinach zachciewa latać. Albo do Jedliny. Tam to już w ogóle fajnie i powietrze, jednak czystsze niż tutaj.

– Tato, nie do Dublina, tylko do Dubaju. To trochę w inną stronę. – Julitka parsknęła śmiechem. – Oczywiście w Jedlinie też jest pięknie, ale sam zrozum, potrzebuję więcej słońca. A tu pogoda jakaś kiepska.

Puściła ojcu oczko.

Doprawdy, Józef nie rozumiał tej dzisiejszej młodzieży. Co było złego w Jedlinie? Gdyby miał wyjeżdżać, to sam by tam pojechał. Znalazłby sobie jakieś przyjemne sanatorium i byłby nawet skłonny spędzić w nim kilka dni. Zawsze mógł nawet wrócić do domu wcześniej albo przynajmniej przyjechać na chwilę, w razie gdyby czegoś zapomniał. Tak, Jedlina byłaby idealna. A tej się zachciało latać nie wiadomo gdzie.

Jeszcze raz przyglądził resztkę włosów, a potem nerwowo potarł wąs. Zawsze tak robił, kiedy się stresował. Zresztą, jak tu się nie stresować, kiedy jedyne dziecko wyjeżdża w nieznaną. Już nie był pewny, do którego Dublina Julitka jedzie i z której on jest strony. To wszystko było zupełnie głupie i Józef zdecydowanie tego nie ogarniał.

– Naprawdę, nie stresuj się, tato. To tylko dwa tygodnie. Pojedziemy, opalimy się i wrócimy. Nawet nie zdążysz się stęsknić. Zresztą mówiłam ci, że jeśli masz ochotę z nami pojechać, chętnie dopiszę cię do wycieczki.

– Jeszcze mi jakichś wypraw brakuje do szczęścia – parsknął Józef. – Wystarczy mi nasze domowe kłopoty, nie muszę się dodatkowo rozbijać nie wiadomo gdzie. Już ci mówiłem, że to zupełnie nie dla mnie. Zresztą, to twoje towarzystwo jest dla mnie zdecydowanie za młode.

Julitka wzruszyła ramionami.

– Trudno, przecież nie zaciągnę cię tam siłą.

Prawdę mówiąc, cieszyła się, że ojciec nie chciał z nią jechać. Zapropnowała mu, bo było jej go zwyczajnie żal, ale liczyła na to, że jednak odmówi. Nie było szans, żeby dogadał się z jej znajomymi. Jej najnowszego chłopaka, Karola, też zresztą szczerze nienawidził. Nie, żeby poprzednich jakos szczególnie kochał, ale Karol wyjątkowo działał mu na nerwy. Ten wyjazd z nimi dwoma mógłby się naprawdę okazać katastrofą, a gdyby musiała wybierać, zdecydowanie wolałaby spędzić urlop z kimś innym zamiast własnego, zgorzkniałego ojca.

Ostatnio bywała u niego dość często, zdarzało się, że nawet pomieszkiwała przez kilka dni, więc miała pełny obraz jego zachowania. Na dłuższą metę by tego nie zniosła. Było jej żal starego człowieka, ale tak naprawdę zamierzała mu matkować. Zresztą trudno cokolwiek przetłumaczyć prawie siedemdziesięcioletniemu facetowi, który i tak najlepiej wie, co jest dla niego dobre. Postanowiła się więc nie przejmować gadaniem ojca i skupić na myśli o wakacjach, luksusach i słońcu. Nieważne, co zrobi, ojciec i tak będzie jęczeć.

– Córcia, przygotowałem ci te twoje witaminki. Leżą na stole w kuchni – przypomniał sobie Józef.

Julita zmarszczyła brwi.

– Jakie witaminki, tato?

– No, te, co je zawsze mieszasz, jak chodzisz na tę swoją siłownię. Takie w proszku, w tym dużym słoiku.

Julita uśmiechnęła się do siebie. Na śmierć by zapomniała. Całe szczęście ojciec tym razem o niej pomyślał.

– Nie witaminki, tato, tylko białko. Dzięki, że mi przypomniałeś. Prawdę mówiąc, zupełnie mi uciekło, a to niedobrze, w końcu regeneracja jest bardzo ważna, zwłaszcza w podróży. – Uśmiechnęła się do ojca i cmoknęła go w policzek. – Jesteś super!

Józek zawstydził się bardzo i najchętniej wytarłby tego całusa natychmiast, ale poczekał, aż córka wyjdzie z pokoju. Gdyby to zrobił w jej obecności, na pewno byłoby jej przykro.

– Ja pieprzę, co to ma być? – Z kuchni dobiegł Józefa krzyk Julitki.

Mężczyzna natychmiast ruszył na odsiecz córce.

W kuchni wszystko było dokładnie w takim stanie, w jakim je zostawił. Na stole stało puste opakowanie po proszku białkowym, a tuż obok leżały równo poukładane woreczki z zawartością. Naprawdę się starał, żeby wszystko było jak należy. Widział, ile Julitka tego sypie, i wymyślił, że przygotowuje jej porcje na każdy dzień. W końcu na wakacjach zapomina się o wielu rzeczach. Poza tym dźwiganie takiego wielkiego słoja musi być bardzo niewygodne. Wczoraj po pracy specjalnie pojechał do sklepu i kupił zestaw woreczków strunowych, a potem spakował to całe białko. Woreczki nie zajmowały za wiele miejsca i Julitka spokojnie mogła je upchnąć w bagażu. Nawet podręcznym. Paczuszki były małe, zabezpieczone, niemal zupełnie niezauważalne.

– Popatrz, masz na każdy dzień, a nawet dwa razy dziennie. Zrobiłem ci porcje. – Józek był z siebie bardzo dumny.

Julita wywróciła oczami.

– Tato, serio? – zapytała właściwie nie wiadomo po co. Józek i tak nic z tego nie rozumiał. – Ja naprawdę jestem ci wdzięczna, że tak o mnie dbasz, ale wyobrażasz sobie, co by było, gdyby mnie z czymś takim zatrzymali na granicy?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– A co miałyby być? Zwykle woreczki z białym proszkiem. Dla wygody.

– Tato – zaczęła tłumaczyć jak dziecku – woreczki i białe proszki w środku kojarzą się tylko z jednym. Jakby mnie dorwali z takim pakunkiem i to jeszcze w Dubaju, już bym się z tego nie wywinęła. Za przemyt narkotyków tam dostaje się czapę.

– Ale przecież sama mówiłaś, że to jakieś białko. Dziecko, co ty właściwie zażywasz?

Józek czuł, jak zaczynają mu się trząść nogi. Odruchowo przyliżał swoją pożyczkę spod pachy i poprawił wąs. Mlasnął dwa razy, bo z tego wszystkiego aż zaschło mu w gardle. Co ta Julitka znowu wymyśliła? Najpierw mówi, że bierze jakieś odżywki, i zarzeka się, że to zdrowe, a potem okazuje się, że mogłaby za nie pójść siedzieć. I jeszcze jedzie do tego całego Dubaju, w którym czapa grozi nawet niewinnym kobietom. To wszystko jest tak popieprzone, że Józek przestał już nadążać. Najgorsze, że córka zaczęła mu się staczać, a on nie mógł z tym nic zrobić. Miał tylko nadzieję, że nie wpadnie przez to w kłopoty.

– Nic nie zażywam – dalej próbowała mu tłumaczyć, ale widać było, że ojciec niczego nie rozumie. – Ale to, co zrobiłeś, jednoznacznie kojarzy się z tym, jakbym zażywała. To zwykła odżywka, ale wierz mi, na granicy nikt nie będzie tego sprawdzał. Zamkną mnie natychmiast i długo nie wypuszczą. Więc wybacz, tato, ale nie wezmę tych twoich woreczków.

– To nie bierz i daj mi już święty spokój. – Józek się obruszył. Miał serdecznie dość, a teraz jeszcze wyszło, że to wszystko jego wina. A niech sobie wszyscy robią, co im się podoba. On już nie zamierzał w to ingerować, nawet jeśli będzie musiał wyciągać własną córkę z zagranicznego więzienia. Zresztą jako prawniczka powinna sobie świetnie poradzić, zamiast oskarżać biednego ojca o własne niepowodzenia.

Józek machnął ręką i wyszedł zły z kuchni. Już mu się nie chciało z nią rozmawiać. Najchętniej pojechałby do atelier, ale na Zenka też nie miał ochoty dzisiaj patrzeć. Oni wszyscy są siebie warci! Niewdzięcznicy!

Szczepan nie bardzo wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Oczywiście kochał Aldonę i Franka i jakby mógł, oddałby za nich oboje życie, ale naprawdę nie wyobrażał sobie, że teraz do ich trójki dołączy kolejna istota. Franio był jeszcze mały i opieka nad nim zajmowała cały czas. Nie dało rady nic zrobić, niczego ogarnąć ani nawet pomyśleć o jakimkolwiek czasie wolnym. Szczepan był już naprawdę wykończony. Aldona szybko wróciła do pracy i choć od biura dzieliły ją jedynie dwa piętra, to i tak widzieli się jedynie wieczorami.

Rzeczywiście, uzgodnili, że to na Szczepana spadnie cały trud opieki nad jedynakiem, ale nie było mowy o kolejnym dziecku. No, może Aldona kiedyś wspominała, że chciałyby mieć dwójkę, ale Szczepan nigdy nie brał poważnej jej słów. Było logiczne i oczywiste, że w tym wieku nie pozwolą sobie już na więcej potomstwa. Czterdzieści lat to taki wiek, kiedy powinno już się myśleć o sobie, planować

odpoczynek i odcinać kupony od wcześniejszego gonienia w piętkę. Czterdziestka to naprawdę nie najlepszy moment, żeby wszystko zaczynać od początku. A na pewno Szczepan nie zamierzał spędzać w pieluchach kolejnych kilku lat.

Tymczasem Aldona wydawała się całkiem z siebie dumna. I ze swojego stanu, którego jej mąż bał się jak diabeł święconej wody. Chodziła uśmiechnięta od ucha do ucha, jakby wygrała na jakiejś loterii. Tylko Szczepan miał jakieś dziwne przeczucie, że jest jedynym przegranym w tym losowaniu. Nawet nie miał z kim o tym pogadać. Kumple z byłej pracy już dawno przestali dzwonić, bo niby po co, skoro za każdym razem był zajęty, bo albo właśnie Franka karmił, albo, dla odmiany, przebierał jego brudną pieluchę. Kiedyś jeszcze zapraszali go na wspólne wyjścia, ale szybko przestali, bo i tak ciągle odmawiał. Stał się starym, zgorzkniałym pantoflem bez ambicji, a teraz miało się okazać, że ten stan wcale nie zamierzał się zmienić.

– Stary, spokojnie, dasz sobie radę – oznajmił mu Krzysiek, którego Szczepan w wielkiej desperacji zaprosił pewnego dnia na piwo.

Doskonale wiedział, że nie powinien pić przy dziecku, ale już nie potrafił sobie z tym poradzić. Zresztą Franek spał, więc jedno piwo w plenerze nie powinno nikomu zaszkodzić.

Na Krzyśka wpadł zupełnym przypadkiem, kiedy ten wracał z pracy, i natychmiast zgarnął go do atelier. To było jedyne miejsce, gdzie spokojnie mogli porozmawiać. Józka od kilku dni nie było w pracy, a Zenek zajmował się nie tylko sklepem, ale, przede wszystkim, pędzeniem kolejnej partii bimbru. Już nikt nie zwracał na to uwagi, ta dodatkowa działalność na dobre wpisywała się w istnienie sklepu.

Właściciele chyba nawet mieli jakieś kłopoty, bo Zenek chodził jakiś dziwnie rozkojarzony. Dlatego tym bardziej Szczepan z Krzyskiem mogli swobodnie porozmawiać, bo nie w głowie było mu jakiegokolwiek podsłuchiwanie.

– Zimno, cholera. Może napijemy się tutaj? – zasugerował Krzysiek, kiedy tylko weszli do sklepu.

Po remoncie lokal zdecydowanie różnił się od dawnego standardu, a przy okazji projektantka wymyśliła im mały kącik ze stolikiem, przy którym całkiem wygodnie można było sobie porozmawiać. Od trzech miesięcy stolik stanowił centralny punkt sklepu i tak naprawdę całej okolicy. W atelier rozmawiało się o wszystkim i w pełnej dyskrecji, więc i tym razem mężczyźni zajęli swoje normalne miejsca. Szczepan zamówił dwa bezalkoholowe, jak na ojców dzieciom przystało, i zaczął opowiadać. Tak po prostu i bez owijania w bawelnę.

– Mam wrażenie, że ona mnie wkręca.

– Aldona? No chyba żartujesz! – Krzysiek nie mógł uwierzyć sąsiadowi. – Sugerujesz, że nie jest w ciąży? Po co miałyby to robić?

– Nie wiem, stary, już nic nie wiem. Czasem mam wrażenie, że zaczyna mi odbijać. Może i jest w ciąży, ale kto wie, czy ze mną. Przecież uważaliśmy.

– Ja też uważałem, a teraz mam babiniec w domu. To tak nie działa. Zresztą chyba nie uważasz, że znów poszła w długą z tym gogusiem?

– Pojęcia nie mam, nie wygląda na to, ale już nie mogę być niczego pewny. Ostatnio dziwnie się zachowuje. Raz cieszy się od ucha do ucha, a za chwilę wyje w poduszkę. Tak, jakby miała coś na sumieniu.

Krzysiek westchnął ciężko.

– Hormony ma na sumieniu. Baby tak mają, a już jak są w ciąży, to w ogóle lepiej schodzić im z drogi.

– Tylko że poprzednim razem tak się nie zachowywała. Było jakoś, nie wiem, normalniej. Stary, serio nie wiem, co mam o tym myśleć.

– To nie myśl, tylko przygotuj się na więcej. Już nic z tym nie zrobisz. No chyba że chcesz po raz kolejny robić badania. Może wtedy będziesz miał spokój.

Szczepan machnął ręką.

– Nie, to nie wchodzi w grę. Z kasą krucho, zresztą to i tak niczego nie zmieni. Tylko mam już dość tych jej humorów. Nie chcę do końca życia prac, sprzątać i niańczyć dzieci. Mam dość bycia pantoflem.

– Rozumiem. – Krzysiek dopił piwo i poklepał sąsiada po ramieniu. Franek mlasnął przez sen. – Ale pomyśl sobie, że dzieciaki szybko rosną. Poza tym zawsze możesz je podrzucić do Mariolki, pewnie nie będzie miała nic przeciwko, a ty spokojnie pójdziesz do pracy. U nas nawet przy czwórce to jakoś działa.

– Pewnie nieprędko, bo jak się młode urodzi, to na pewno będzie ciężko. Serio nie wiem, jak dajesz sobie radę z całą czwórką.

– Szczerze? Lekko nie jest, ale liczę na to, że z czasem będzie łatwiej. Dobra, muszę uciekać do tego mojego babcia, bo mi żona łeb urwie. Dziękuję za piwo. Na razie.

– Cześć. – Szczepan kiwnął Krzyškowi i spuścił ponuro głowę. Może rzeczywiście zaczyna już świrować, a te humory Aldony to tylko ciąża? A raczej: aż ciąża. Jasna cholera, to nie tak miało być.

W mieszkaniu było cicho. Antek z ojcem poszli na spacer, a Jurek starał się zajmować obiadem. Zupełnie mu nie szło, wszystko wypadło mu z rąk i właściwie nawet nie miał ochoty na gotowanie. Zwykle kuchnię zajmował się jego małżonek, ale dzisiaj to on postanowił coś przyrządzić. Mieli z Antkiem dziesiątą rocznicę związku i choć normalnie nie obchodzili hucznie podobnych dni, to dzisiaj Jurek chciał przygotować dla męża coś specjalnego. Dla męża – już sam nie wiedział, jak go nazywać. Z jednej strony byli przecież małżeństwem, ale tak naprawdę zupełnie tego nie czuł. Urzędy robiły im pod górkę, za każdym razem udowadniając, że w świetle prawa ich związek nie powinien istnieć. Nie mogli niczego załatwić, dowiedzieć się o stanie zdrowia swojego męża, musieli kluczyć i kłamać. To było naprawdę upokarzające. A do tego wszystkiego nawet nie mogli nazywać się małżeństwem, nawet jeśli przecież wszystko zostało przypieczętowane urzędowo w Amsterdamie. Tutaj byli wyrzutkami, dziwakami, na których można patrzeć z politowaniem i wytykać ich palcami. Czasami czuli się jak baba z brodą w cyrku, wystawiana na widok publiczny ku ucieście innych. A przecież ani on, ani Antek nie różnili się od innych zupełnie niczym.

Nie chciał tego ślubu, nie chciał, żeby znów na niego patrzyli i szeptali za jego plecami. Ślub zawsze wywołuje emocje, jest doskonałą pożywką dla złośliwych ciotek, których nikt nie zaprasza, pretekstem do obrażenia się na śmierć, a przynajmniej obgadania młodych za plecami. I zawsze coś komuś nie będzie pasowało, a rodzina do końca życia będzie wspominać każdą wpadkę, nawet jeśli ta tak naprawdę wpadką nie była. Ślub gejów dopiero byłby wydarzeniem. Jurek spodziewał się, że połowa rodziny będzie stukała się znacząco w czoła,

część wyklnie ich i wydziedziczy tak, jakby miała z czego, jeszcze inni nałożą na nich klątwę boską, ekskomunikę i jeszcze przez dwadzieścia lat będą spluwać przez lewe ramię na ich widok. Nie wszyscy są tak wyrozumiali jak jego ojciec.

Prawdę mówiąc, był wdzięczny ojcu za to, że ten zrozumiał jego sytuację. Nie spodziewał się tego i nie oczekiwał, a nagle okazało się, że całkiem dobrze się z Romanem dogadują. Matka też w końcu, choć niechętnie, przejrzała na oczy, rodzice Antka powoli oswajali się z sytuacją, ale jeszcze długa droga przed nimi, żeby zaakceptował ich świat. Niestety, Antek bardzo zapalił się do pomysłu ślubu humanistycznego, a Roman dzielnie mu sekundował. Jurek czuł się jak w pułapce.

Miał już dość wścibskich spojrzeń, komentarzy i docinków. Gdyby nie to, pewnie cieszyłby się tak, jak Antek. Niestety, życie właściwie każdego dnia brutalnie weryfikowało jego radości i marzenia. Bał się, chyba jak nigdy, bo o ile w tolerancyjnym kraju, jakim jest Holandia, szczęśliwie brał ślub, tak tutaj w ogóle nie czuł się pewnie.

Nigdy specjalnie nie ukrywał tego, kim jest, ale i jakoś się z tym nie obnosił. Obaj z Antkiem wychodzili z założenia, że z jednej strony nie powinni dać się zaszczyć, a z drugiej – to przecież ich prywatna sprawa. Kto miał wiedzieć, wiedział, a kto się domyślał, to się domyślał, a cała reszta zupełnie ich nie obchodziła. Ale ślub to coś zupełnie innego. To wystawienie własnych radości, ale i lęków na widok publiczny. I czekanie na reakcję z nadzieją, że będzie pozytywna. A na to Jurek chyba nie był gotowy.

– Cholera! – zaklął pod nosem, kiedy zauważył, że kurczak, którego smażył, zaczyna mu się przypalać. Zamyślił się i nie przypilnował gazu jak należy. Na szczęście drób

przypiekl się tylko trochę i nie zagroził wyrzuceniem całego dania.

Chyba jednak gotowanie powinien zostawić Antkowi, a sam zająć się tym, co potrafi najlepiej.

Spojrzał na zegarek. Rodzina za chwilę wróci, więc musi się pospieszyć, jeśli chciał ich zaskoczyć. Dość myślenia o głupotach.

– Jaja sobie robisz – Mariolka wydawała się nie tylko zaskoczona, ale wręcz zszokowana całą sytuacją.

Elwira pokiwała przecząco głową.

– Po co miałabym sobie żartować z biznesu? Myślisz, że będzie z tego afera?

– Mam nadzieję, że jednak nie, bo jak nas obsmarują w gazetach, to będziemy skończone.

– Skończona to jest Mirella, powinnaś ją natychmiast wyrzucić.

Mariolka westchnęła ciężko.

– Przecież wiesz, że nie mogę. Tak naprawdę nic się jeszcze takiego nie stało, a jej jedynym przewinieniem było to, że chciała zarobić trochę na lewo.

– Niby tak, ale wycieranie twarzy nazwą firmy nie należy raczej do najbardziej moralnych występów.

– Dobra, zostawmy to na razie. Zresztą nie mam do tego teraz głowy. Zobaczymy, co się z tego wykluje. Zwolnić kogoś można zawsze, a może wcale nie będzie trzeba.

Elwira popatrzyła na przyjaciółkę z niekłamanym współczuciem.

– Wiesz co? Powinnaś zmienić imię na Teresę. A potem powinni cię natychmiast kanonizować. Choć „święta Mariolka” też dość niezłe brzmi. Santo subito!

Szefowa nie skomentowała, bo tak naprawdę sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Mirella to nowa niania, ledwo zaczęła pracę w firmie i nie do końca było wiadomo, czego się można po niej spodziewać. Co prawda poleciła ją Karolina, bo zanim młodzi z rodzicami wyprowadzili się jednak za granicę, studiowały na jednym roku, ale wiadomo, że nie można polegać w stu procentach na czyjejś rekomendacji. Mariolka oczywiście sprawdziła ją na dziesięć różnych sposobów, ale nie przypuszczała nigdy, że to wszystko i tak nie wystarczy.

A teraz to nadmierne zaufanie i wiara w ludzi miała się na niej zemścić. Mirella wymyśliła bowiem, że spróbuje swoich sił zupełnie prywatnie, za to powołując się na swoje kontakty z *Uśmiechem bombelka*. Chciała dogadać się z rodzicami małej Amelki za plecami Mariolki i skasować za jeden dzień tyle, ile zarobiłaby przez tydzień za pracę w agencji. Z tym że bez pośredników. Plan był równie prosty, co genialny, nie przewidziała tylko jednego: ukrytej kamery w domu swoich niedoszłych pracodawców. I jeszcze tego, że niechący stanie się główną bohaterką dziwnego programu o jeszcze dziwniejszych opiekunkach do dzieci.

Jej dzień próbny przebiegał spokojnie, dopóki nie zauważyła dziwnej poświaty w oku jednego z misiów małej Amelki. Doskonale wiedziała, co to może oznaczać, wszak jej szanowny ojciec, pasjonat wszelkiego rodzaju teorii spiskowych, był równie wielkim fanem różnego typu sprzętu szpiegowskiego. Na temat kamer, mikrofonów i tajnych technik szpiegowskich wiedział wszystko i tę wiedzę natychmiast

i przez lata przekazywał swojej córce. Mirella kpiła z ojca od kiedy urosła na tyle, żeby zrozumieć, że tatuś jest zwyczajnie świrnięty, i nigdy nie podejrzewała nawet, że taka wiedza do czegokolwiek jej się przyda. Aż do dziś, kiedy zrozumiała, że jest podglądana.

Oczywiście od razu zorientowała się, że to sprawka jej niedoszłych pracodawców, i natychmiast zadzwoniła do Elwiry. Niestety, było już za późno na interwencję.

Elwira próbowała kontaktować się z rodzicami dziecka i tłumaczyć, że agencja nie miała niczego wspólnego z tą akcją, a opiekunka po prostu urwała się z firmowej smyczy, ale nikt nie chciał słuchać jej tłumaczeń. Rodzice powiedzieli tylko, że Mirella wyraziła zgodę na filmowanie i udział w programie i że podpisała stosowne dokumenty, w których była podana również kwota, jaką miała otrzymać po zdjęciach.

– Ja myślałam, że to umowa – ryczała do słuchawki Elwirze. – Nikt mi nie powiedział, że to jakiś cholerny program.

– A nie zdziwiła cię stawka wpisana w dokumentach? W ogóle przeczytałaś to, co podpisywałaś?

– A kto czyta tyle stron? Kazali podpisać, to podpisałam. I powiedzieli jeszcze, że dostanę za to tysiąka. Za jeden dzień! Miałam wybrzydzać? Chyba żartujesz!

– No tak, za tysiąka to bardzo rozumiałe – zakpiła Elwira. – Dziewczyno, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, w co nas wpakowałaś? Przecież powinnaś wylecieć na zbitą twarz i to w trybie natychmiastowym.

Mirella zaniósła się płaczem.

– Przecież nic nie zrobiłam. Chciałam dobrze.

– I nikomu nawet nie wspomniałaś, że pracujesz w agencji? I nie powiedziałaś, że masz od nas doskonałe referencje?

Dziewczyna pociągnęła nosem.

– No powiedziałam, ale naprawdę chciałam dobrze. Ten tysiak był mi serio potrzebny.

– Dobra, nie chce mi się z tobą dłużej gadać. Mariolka podejmie decyzję, co zrobi. A ty przestań histeryzować, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Na razie.

3

Radeo nie mógł się napatrzeć na te wszystkie piękne kobiety. Czuł się, jak na jakimś pokazie dla modelek, bo co chwilę mijała go kolejna ślicznotka. Najchętniej każdą z nich zgarnąłby do pokoju i zrobił z nią mnóstwo niemoralnych rzeczy.

Niestety, tymczasowo mógł je wyłącznie podziwiać, bo tuż obok zawsze stała Justyna. Zupełnie jakby pilnowała, czy nie robi czegoś głupiego. Była jak jego matka – nadopiekuńcza i nadwrażliwa. A do tego zabierała mu całą przestrzeń i swobodę, której tak bardzo potrzebował. Oczywiście rozumiał, że na razie tak musi być, ale nie wyobrażał sobie, żeby ten stan miał trwać dłużej, niż było to absolutnie konieczne.

Na razie przechadzał się wśród pięknych panien i podziwiał każdą z nich z osobna. Justyna pracowała, kręcili jakąś doprawdy głupią scenę i po pierwszych dublach Radeowi znudziło się patrzeć na to wszystko, co działo się na planie. Siedział więc zblazowany na schodach garderoby i czekał na zakończenie zdjęć.

Justyna obiecała, że wieczorem pójdą do klubu, gdzie spotykają się najbardziej znani celebryci, więc teraz zwyczajnie musiał być grzeczny. Zwykle nie chodziła w takie miejsca,

więc tym bardziej nie opłacało mu się odstawić żadnego numeru. Zawsze mogłaby się przecież rozmyślić.

– Cześć! – W pewnym momencie usłyszał znajomy głos. Przed nim stała jedna z koleżanek Justyny. Nie miał pewności co do jej imienia, więc na wszelki wypadek uśmiechnął się tylko szeroko. Nie wypadało zapominać takich rzeczy, więc postanowił nadrobić urokiem osobistym. Jak zawsze.

– Cześć, mała – odpowiedział nonszalancko. – Jak tam życie?

Dziewczyna niemal niezauważalnie pokręciła głową.

– Życie całkiem niezłe. A twoje? Widzę, że się przygotowujesz do jakiejś ważnej roli.

Radeo czuł, jak płuca mimowolnie napełniają się powietrzem. Jakby mógł, uniośłby się w górę w samouwielbieniu. Jak widać, już zaczynali się poznawać na jego talencie. Owszem, zamierzał dostać tu rolę i to wcale nie jakąś, ale całkiem sporą. A przy okazji zagra nie tylko w filmie, ale i w życiu jednej z tych piękności. Niekoniecznie koleżanki Justyny.

– Wiesz, na razie obserwuję. Jeszcze sporo mi brakuje do zagrania w serialu, ale może, przy odrobinie szczęścia, uda mi się kiedyś zahaczyć o maleńki epizod. – Udawał bardzo skromnego, bo wiedział doskonale, że dziewczyny nie lubią egocentryków i narcyzów.

Oczywiście, że był narcyzem i to bardzo z tego faktu zadowolonym, ale taktyka skromnego chłopca zawsze dobrze działała na płęć przeciwną.

– A czym ty się tu zajmujesz, śliczna pani? – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Dziewczyna popatrzyła na niego z politowaniem, ale nawet tego nie zauważył.

– Ja tu maluję. Ludziom twarze, żeby wyglądali właśnie jak ludzie. Poza tym myśmy się już poznali, nie pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Jakbym mógł zapomnieć taką kobietę.

Dziewczyna westchnęła głośno i wyciągnęła do niego rękę. On naprawdę był beznadziejny.

– Anita jestem. Anita Szymańska. Makijażystka.

Radeo udał, że w ogóle go to nie obeszło. Przez cały czas szczerzył się w uśmiechu, choć do głowy właśnie przychodziły mu najbardziej wymyślne przekleństwa. No oczywiście, że Anita! Jak mógł zapomnieć! Popęłnił podstawowy błąd, który na tym etapie mógł go zdyskwalifikować. Na szczęście ta cała Anita zupełnie nie mieściła się w kręgu jego zainteresowań, więc ta wpadka nie miała właściwie żadnego znaczenia. Ale mogła mieć. Niewybaczalny błąd. Musiał uważać na przyszłość i lepiej przygotowywać się do ewentualnych spotkań.

Anita usiadła obok niego na schodach. Przesunął się odruchowo.

– Nie zazdrozczę im takiego harowania. Całe życie na nogach od rana do wieczora. I po co? Żeby inni mieli uciechę. I przy okazji mogli im obgadać tyłki. Niefajna taka robota. – Zadumała się.

– Czy ja wiem? – Radeo był zdecydowanie innego zdania. – Nie miałbym nic przeciwko takiej pracy. Przecież nie codziennie mają zdjęcia, a jak nie mają, to mogą robić, co im się podoba. A sława zawsze z nimi zostanie, choćby wychodzili na zakupy. Może nie wiesz, ale celebrytą się po prostu trzeba urodzić.

Kobieta uśmiechnęła się pod nosem. No oczywiście, a ten palant nie dość, że uważa się za znawcę świata filmu,

to jeszcze zaraz sam siebie nazwie celebrytą. To naprawdę było żałosne, ale Anita nie zamierzała mu ułatwiać.

– Może i masz rację. – Zamyśliła się na pokaz. – Może rzeczywiście to jest fajne. A ty? Czujesz się celebrytą?

Radeo wciągnął powietrze ze świstem.

– Bardzo bym chciał. Wiesz, jestem urodzonym zwycięzcą i zawsze dostaję dokładnie to, czego chcę, więc jeśli bardzo zachcę być celebrytą, to nie ma żadnych przeszkód, żebym nim w krótkim czasie nie został.

Omam nie zachłysnęła się kawą, którą przez całą rozmowę sączyła z papierowego kubka. Ten gość był naprawdę żałosny i Anita nie miała pojęcia, co Justyna w nim widzi. Mały, zakompleksiony człowieczek z wielkim ego, nic poza tym.

Oczywiście nie zamierzała wyprowadzać go z błędu, choćby przez wzgląd na zakład z przyjaciółką, więc tylko ze zrozumieniem pokiwała głową. Tak naprawdę najchętniej parsknęłaby mu śmiechem prosto w twarz, ale ani nie wypadało, ani nie wolno jej było tego robić. W swoim czasie nawet Justyna przejrzy na oczy.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. W każdym razie Anita była zatopiona, bo twarz Radea nie wykazywała nawet najmniejszych oznak choćby jednej myśli przemykającej mu przez głowę. Po prostu siedział i tępo patrzył w dal. I tylko co kilka sekund sprawdzał ręką, czy przypadkiem strużka śliny nie wycieka mu z kącika ust.

W pewnym momencie na planie zrobił się ruch, reżyser zaczął coś krzyczeć, a cała reszta ekipy nagle rozpięzchła się po kątach.

– Zaczyna się. – Anita szturchnęła Radka w bok. – Uważaj, bo teraz będzie akcja.

Radeo zmarszczył brwi, niewiele rozumiejąc z tego wszystkiego. Reżyser darł się wniebogłose i wyzywał, na czym świat stoi, a wszyscy wokół chowali się najdalej, jak tylko mogli.

– Dobra, czas na mnie. – Pozbierała się ze schodów, na których siedziała razem z Radkiem, i czym prędzej ulotniła się do jednego z pomieszczeń, gdzie makijażyści przygotowywali charakterystykę kolejnych aktorów.

Radeo został sam i poczuł, jak włosy na karku zaczynają mu się lekko podnosić. Po raz pierwszy od dawna czuł niepokój.

– Ty! – Reżyser wyciągnął w stronę mężczyzny kościsty palec.

W ogóle cały był kościsty. Chudy i wydawało się, nie-kończenie długi. Miał zbyt krótkie jeansy, stare trampki i sprany podkoszulek. Jedynie twarz nie pasowała do tego całego wyglądu typowego niechlujka. Reżyser miał dokładnie przystrzyżoną brodę, jakby właśnie wyszedł z salonu barbera, krótkie włosy z modnie wygolonym na boku paskiem i jakieś sześćdziesiąt lat. A do tego wszystkiego głos jak dzwon, który rozchodził się echem po całej okolicy. Człowiek pełen przeciwności, chodzący absurd. I ten właśnie ewenement celował swoim palcem w Bogu ducha winnego Radea, który w jednej chwili zamienił się w prawdziwy słup soli, choć czuł, jak po kręgosłupie płynie mu strużka potu.

– Do ciebie mówię! – darł się tymczasem reżyser. – Głuchy jesteś czy co? Do mnie, natychmiast! – rozkazał.

Radeo wstał niemal automatycznie. Głos reżysera powodował, że nie było nawet możliwości w jakikolwiek sposób mu się sprzeciwić. Podszedł do mężczyzny z lekkim ociąganiem, nie bardzo wiedząc, czego może się spodziewać.

– Stań tu i się pokaż – rozkazał ponownie reżyser. Obejrzał Radea, jakby co najmniej byli na targu żywca. Obszedł go z każdej strony, podotykał jego torsu, na koniec nawet kazał pokazać mu zęby. To było najbardziej upokarzające, ale Radek nie zamierzał protestować. Czuł, że właśnie dzieją się wielkie rzeczy. – Dobra, nadasz się – skwitował w końcu filmowiec. – Jak się nazywasz?

Radeo nie wiedział, co odpowiedzieć, choć przecież doskonale znał własne nazwisko.

– Radeo – wydukał w końcu.

Reżyser prychnął.

– A ile ty masz lat, że mi się przedstawiasz jakimiś pseudonimami? Piętnaście? W dupie mam, jak na ciebie mówią i czy jesteś z grupy Wisienek, czy Muchomorków. Zaczynij się zachowywać jak dorosły facet, a nie jak przedszkolak, bo się rozmyślę. Jak się nazywasz, zapytałem.

Prawdę mówiąc, Radeo nawet nie wiedział, czy przypadkiem nie chce, żeby reżyser się rozmyślił, bo do tej pory nie miał nawet bladego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Westchnął ciężko, choć miał nadzieję, że nie zostanie to zauważone przez tego tyrana w za krótkich spodniach, ale niestety, wszystko natychmiast się wydało.

– Nie wzdychaj, bo zdechniesz. Mów, bo drugiej szansy nie będzie.

– Radosław. Nazywam się Radosław. Rudnicki – dodał ciszej.

Reżyser prychnął niekontrolowanym śmiechem, aż kilku aktorów wyjrzało zza prowizorycznej ściany, która tymczasowo robiła im za schronienie przed gniewem szefa. Potem przewrócił oczami i westchnął głęboko.

– No, czego ja się spodziewałem – mruknął do siebie.
– Nuda. Dobra, wiesz co – odezwał się do kompletnie skolowanego Radka – zostanmy jednak przy tym Radeo. Też głupie, ale lepsze niż to nudziarstwo, które tu uprawiasz od kilku godzin. Od dziś będziesz aktorem. I to nie żadną popierdólką, tylko prawdziwym aktorem. A jak spieprzysz, to wylecisz na zbity pysk i nikt więcej o tobie nie usłyszy. Kapujesz?

Radeo czuł, jak mu serce zaczyna bić coraz mocniej. Nie wierzył własnym uszom i własnemu szczęściu. Przecież to wszystko nie mogło dziać się naprawdę, a przynajmniej nie tak szybko. Wiadomo, że tego właśnie chciał, ale tak już? Przecież dopiero przyjechał. Jednak jak widać, wszechświat od dawna miał na niego plan. Uśmiechnął się szeroko i rozpromienił niczym słońeczko po burzy. Witaj, Warszawo! Witaj, piękny celebrycki świecie!

Skinął głową reżyserowi, a ten tylko ponownie westchnął. Chwycił leżący na prowizorycznym stole scenariusz i wręczył go ciągle jeszcze zszokowanemu, choć głupio uśmiechniętemu Radkowi.

– Gdyby te głąby, które zatrudniłem do znalezienia obsady, po raz kolejny nie zawiodły, nie byłoby cię tutaj i miałbym dużo łatwiejsze życie. No, ale nie ma co płakać nad posranym dzieckiem, jesteś tu i daję ci szansę. Nie spieprz tego, chłopcze. Od dzisiaj nazywasz się Kamil Ślimak, przynajmniej w serialu. I możesz grać jak drewno, tu i tak nikt tego nie zauważy. Tekst na jutro na blaszkę. A teraz wypad, bo tu się pracuje.

– Posterunkowy Gaweł, do mnie! – ryknął przez cały posterunek Zawisza.

Właściwie w ogóle nie musiałby ryczeć, jego głos nawet po cichu niósł się daleko, zupełnie nie tracąc przy tym mocy. Wydawało się, że normalnie i na co dzień był wspomagany przez jakieś nadprzyrodzone siły wokalne albo ukryte w gardle urzędnika. Nikt w całej wałbrzyskiej policji nie miał nigdy takiego basu. Wszyscy za to śmiali się, że Zawisza mógłby pracować przy demonstracjach i nielegalnych zgromadzeniach. I to bez megafonu.

Krzysiek się wzdrygnął. Lubił komendanta, spokojnie mógłby go nazwać swoim przyjacielem, jednak zawsze czuł przed nim respekt należny przełożonemu. Zawisza niejednokrotnie pomógł Krzyškowi i całej jego rodzinie, dlatego posterunkowy tym bardziej nie wyobrażał sobie, że mógłby zrobić cokolwiek przeciwko niemu. A mimo wszystko poczuł się nieswojo na samą myśl o pójściu do jego gabinetu. Wołanie komendanta zawsze zwiastowało kłopoty. Może nie bezpośrednio, ale za każdym razem oznaczało albo dodatkową robotę i wizję powrotu do domu niekoniecznie o normalnej porze, albo dużo poważniejsze zmiany, które niechybnie miały nadejść.

Wszyscy popatrzyli na Krzysztofa z pewną dozą współczucia i wspólnym przekonaniem, że ktoś tu dzisiaj będzie miał przerąbane. Posterunkowy Gaweł wstał i noga za nogą powlókł się w kierunku gabinetu przełożonego.

– No, nareszcie – ryknął Zawisza. – Już myślałem, że przez Kuluszki szedłeś. Siadaj, Gaweł.

Krzysztof usiadł po drugiej stronie biurka. Zawisza lekko się uśmiechał, ale posterunkowemu i tak nieprzyjemny dreszcz przeszedł po plecach.

– Mam nadzieję, że to nic złego – zaczął nieśmiało.

Zawisza popatrzył na niego spod zmarszczonych brwi, a potem westchnął ciężko.

– Oj, Gawęł, ty to się wszystkiego boisz jak dziewica przed pierwszym razem. Wyluzuj trochę, bo się wrzodów nabawisz. Jak dzieciaki?

Krzysztof starał się nie oddychać za głośno, choć coraz bardziej czuł, że zaraz coś się wydarzy.

– Dobrze, rosną jak na drożdżach. Ganiają i nie dają nawet chwili spokoju. Czasem dziwię się Elwirze, że je jakoś ogarnia.

– Tak, to fajne dziewczuszki. Bardzo fajne. – Komendant zamyślił się, jakby zupełnie nie słuchając odpowiedzi na pytanie, które sam przed chwilą zadał. – Dobra, Gawęł, przejdźmy do rzeczy bez zbędnego owijania w bawełnę. Wiesz, gdzie jest Haga?

Krzysztof otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Oczywiście, że wiedział, gdzie znajduje się Haga, tylko jaki cel przyświecał komendantowi, żeby właśnie teraz o to pytać? Kiwnął głową.

– Dobrze. Czyli pewnie wiesz też, co znajduje się w Hadze – ciągnął dalej Zawisza.

– Yyy... Trybunał Sprawiedliwości?

– Owszem, ale akurat nie o to mi chodzi. Znasz jeszcze jakiś urząd?

Krzysztof zamyślił się przez chwilę.

– No, to chyba nie wiem.

– Europol, Gawęł. Chodziło mi o Europol.

Oczywiście. Europejska policja od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku ma swoją siedzibę właśnie w Holandii. To było tak oczywiste, że Krzysztof nawet o tym nie pomyślał.

Tylko jaki związek miała haska policja z nim, zwykłym posterunkowym z Wałbrzycha? Coś tu ewidentnie było nie w porządku.

– No dobrze... – zaczął Krzysiek powoli, zastanawiając się przez cały czas, o co właściwie chodzi komendantowi.

– Dobra, dobra, już wyjaśniam, bo widzę, że się niecierpliwisz. Otóż zostałeś wybrany do odbycia szkolenia właśnie w szeregach Europolu. Co tu dużo mówić, Gaweł, jesteś dobry w tym, co robisz, a chcielibyśmy, byś był jeszcze lepszy. A tak naprawdę to nawet nie my byśmy chcieli, tylko komendant główny. Patrzył na twoje wyniki i stwierdził, że nam się tu zwyczajnie marnujesz.

Krzysiek jeszcze szerzej otworzył oczy ze zdziwienia. Miał wrażenie, że zaraz mu wypadną i potoczą się po biurku Zawiszy. To wszystko nie miało nawet najmniejszego sensu. Był przecież zwyczajnym posterunkowym z podrzędnego bądź co bądź komisariatu w niedużym mieście, a tu nagle okazywało się, że został wybrany do uczestnictwa w szkoleniu na jakimś końcu świata i to w siedzibie samej europejskiej policji. Nie żeby kiedyś nie marzył o zrobieniu zawrotnej kariery, ale od kiedy na świecie pojawiły się dziewczynki, marzenia nagle skurczyły się do zrobienia swojego i jak najwcześniejszego odejścia na policyjną emeryturę. Oczywiście to i tak miało nie nastąpić w ciągu kolejnych kilkunastu lat, ale przecież mógł je spokojnie spędzić tutaj, przy swoim biurku, czasem w terenie, a nie na jakichś zagranicznych wojażach.

Niestety, z góry było wiadome, że jeśli nie zgodzi się na to szkolenie, do emerytury może wcale nie dotrzeć, a wtedy i święty spokój odejdzie w niepamięć, skrzywił się więc tylko nieco do wewnątrz, próbując jednak nie pokazywać Zawiszy, jak bardzo mu to wszystko jest nie na rękę.

– Powiem szczerze, że jestem dosyć zaskoczony. Takie wyróżnienie...

Zawisza parsknął nieznacznie.

– Przecież widzę, że ci się to nie podoba. Mnie nie oszukasz, Gaweł, za dobrze się znamy. Ale niestety, tutaj nie mam za wiele do gadania. Takie przyszły rozkazy z samej góry. Jedziesz, czy ci się to podoba, czy nie. Przykro mi, stary, niewiele tu mogę.

– Nie, no panie komendancie – zaczął się tłumaczyć. – To nie jest tak, że się nie cieszę. To w końcu wielka rzecz. Tylko wie pan, jestem dość zaskoczony. No ale przecież to tylko kilka dni. Jakoś damy radę, a wrócę całkiem odmieniony. Trzeba się w życiu rozwijać, bo kto się nie rozwija, to się zwija, co nie? – zakończył z udawaną radością.

Był wściekły. Jeszcze go nie było w Holandii. Elwira też się wścieknie – tego był pewny jak w banku. Nawet tydzień samej z dziećmi będzie jej wyjątkowo ciężko. Oczywiście nie zamierzał się kłócić z Zawiszą, w końcu rozkaz to rozkaz, ale domyślał się, że żona długo będzie mu suszyła głowę. Już i tak musiał się gęsto tłumaczyć, kiedy zostawał po godzinach, bo jechał na akcję albo gdy ratował jakiegoś dzieciaka z toksycznego domu, pełnego alkoholu i przemocy. Nie miał łatwej pracy i potrafił poświęcić się jej w znacznym stopniu, ale od kiedy wyjaśnili sobie wszystko z Elwirą, postanowił sobie, że nigdy nie postawi roboty ponad rodziną. Ale przecież tutaj była mowa o zaledwie kilku dniach.

Zawisza popatrzył na niego w napięciu.

– Gaweł, ale my mówimy o prawdziwym szkoleniu, nie o żadnym treningu online. Mają tam z ciebie zrobić prawdziwego fachowca światowej klasy. Sam rozumiesz, że to nie może trwać kilka dni.

– Dobra, miejmy to z głowy. – Krzysiek zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić. Ta cała sytuacja już dawno przestała mu się podobać. – Ile mnie nie będzie?

Zawisza wciągnął głośno powietrze do płuc.

– Pierwszy etap szkolenia trwa rok. A potem się zobaczy.

Posterunkowy Gaweł poczuł, jak zatykają mu się uszy, a krew uderza mu do głowy. Zastanawiał się nad kilkoma dniami, a tymczasem miał zostawić rodzinę na okrągły rok? Nie ma opcji!

– To chyba jakiś żart – wymamrotał, czując coraz większą ochotę wyjścia z gabinetu komendanta i trzaśnięcia z całej siły drzwiami. Jedyne szacunek, jaki żywił do przełożonego, powstrzymywał go przed zrobieniem tego. – Nie pojedę na rok nie wiadomo dokąd. Nie zgadzam się, pan wybaczy, komendancie, ale wolę odejść ze służby niż porwać się na coś takiego. Przecież Elwira mnie zabije. I najgorsze jest to, że będzie miała całkowitą rację.

– Gaweł, uspokój się. – Zawisza starał się być spokojny, choć widać było, że nim też targają emocje. – Nie mogę z tym nic zrobić. Zastanów się nad tym, zanim podejmiesz ostateczną decyzję. Wiesz, jaki jest główny. Jeśli się nie zgodzisz, doprowadzi do tego, że stracisz pracę, a tego nie chce żaden z nas. Szkoda byłoby takiego funkcjonariusza, wszyscy widzą, że jesteś stworzony do tej roboty. Poza tym, co zrobisz, jak przestaniesz być policjantem? Gdzie tu pójdziesz?

– Nie wiem, zostanę ochroniarzem w supermarkecie. W dupie to mam, nie zostawię Elwiry na cały rok samej. Komendancie, ja mam czwórkę małych dzieci, już pomijam opiekę nad nimi, ale przecież jak wrócę, to dziewczyny nie będą mnie nawet pamiętać.

– To je zabierz ze sobą – wypalił komendant. – Jeśli główny chce cię w Hadze, niech załatwi ci mieszkanie i opiekę dla dzieci. To akurat jestem w stanie dla ciebie zrobić. Porozmawiaj z żoną, a ja spróbuję ogarnąć głównego. I proszę cię, nie rezygnuj za szybko. Dobry z ciebie glina, a rok przecież szybko zleci.

Krzysztof nie wiedział, co odpowiedzieć. Na dobrą sprawę nie wiedział nawet, co o tym wszystkim myśleć, co mówić i jak się zachować. To wszystko było tak absurdalne, że zupełnie nie mieściło się w jego percepcji. Powoli podniósł się z fotela i bez słowa skierował się w stronę drzwi. Jedno wiedział na pewno – w domu będzie miał potężnie przerąbane.

– Kierowniku, to jakaś kompletna katastrofa! – Stefan, lokalny żul, zwany przez współwłaścicieli *Atelier u Józka* Hurtownikiem, wpadł do sklepu jak oparzony.

Zenek popatrzył na niego znad lady. Józka jeszcze nie było, a on sam siedział tu od rana i rozwiązywał jakieś durne krzyżówki. Ostatnio nie mógł spać, więc przychodził do atelier wczesnym rankiem, nastawiał kolejną partię bimbru, jeśli było trzeba, ogarniał i przygotowywał wszystko do otwarcia. A potem robił sobie mocną kawę i siadał za ladą z książeczką z krzyżówkami. Odkąd nie pił alkoholu, tylko kawa była w stanie utrzymać go w pionie z samego rana. A te krzyżówki tak naprawdę tylko go wkurzały, ale nie potrafił znaleźć sobie lepszego zajęcia z samego rana. Z serialami był na bieżąco, wszystkie paradokumenty zaczynały się później, a powtórki starych teleturniejów znał na pamięć. Zostały mu tylko te nieszczęsne literki, wpisywane

w kolejne kratki układanki. Nawet nie cieszył się, kiedy odgadywał finalne hasło, tylko automatycznie przechodził do następnej strony.

– Co tam się wydarzyło? – zapytał roztrzęsionego Stefana. – Wszystko w porządku?

Stefan był najlepszym i najwierniejszym klientem sklepu. Przychodził zawsze z samego rana i brał pierwszą partię bimbrow. Potem przychodził w porze obiadowej, by uraczyć się kolejną butelką, a wieczorem wracał po „coś na spanie”. W zamian już od rana znosił do sklepu plotki z całej okolicy. Józek średnio się nimi przejmował, ale Zenek lubił wiedzieć, co się dokoła dzieje. Wiadomości z pierwszej ręki nie tylko powodowały u niego przyspieszone bicie serca, ale też zdecydowanie poszerzały jego horyzonty i obycie w świecie. Zwłaszcza w tym lokalnym. A ponieważ Zenek, podobnie jak Józek, nigdy nie wychylił nawet nosa poza własne podwórko, to plotki z jego świata zdecydowanie mu wystarczały. Trzeba szczerze przyznać, że dzięki nim wiedział doskonale, co się dzieje w okolicy i jak pokierować produkcją swojego trunku, żeby z jednej strony sprostać zapotrzebowaniu, a z drugiej – nie zostać z nadprodukcją. Największym problemem przy produkcji bimbrow była jego legalność. Nie mógł go bowiem przechowywać zbyt długo, bo brak akcyzy co niektórych bardzo raził w oczy, a Zenek zdecydowanie wolał się nie narażać. Co prawda mieli po swojej stronie uprzejmego sąsiada z policji, którym mogli postraszyć ewentualnych dociekliwców, ale woleli nie nadużywać tego typu znajomości. Jak się ktoś przyczepi, to nie będzie zmiłuj. Dlatego produkowali tylko tyle, żeby zaspokoić pragnienie stałych odbiorców, z niewielką górką dla potencjalnych nowych klientów.

Stefan stał prawie na baczność i nie był w stanie pozbierać myśli, nie mówiąc już nawet o wyartykułowaniu ich na głos.

– No, co jest, Stefan? Coś się stało? Wpadłeś tu, jakby się paliło, a teraz stoisz i gapisz się jak sroka w gnat.

– Bo... bo katastrofa – wymamrotał Stefan.

– To już słyszałem. Że katastrofa. A coś więcej mi do tego dopowiesz? Czy mam sam sobie dośpiewać? No, mówże, stary dziadzie.

– Otworzyli konkurencję! – powiedział Stefan na jednym wydechu.

Zenkowi natychmiast zrobiło się słabo. Ten dzień musiał w końcu nadejść, spodziewali się z Józkiem, że wreszcie ktoś wpadnie na podobny pomysł i będą musieli się albo zwinąć z biznesem albo zawałczyć o swoje być albo nie być, ale żaden z nich chyba nie oczekiwał, że to stanie się tak szybko i tak znienacka.

– Czekaj, jaka znowu konkurencja? Kto i gdzie? Mów mi tu szybko – ponaglił Stefana.

Ten tylko stał przy ladzie i dyszał ciężko.

– Tam pod lasem, nowy sklep otworzyli. Ile tam jest towaru! A bimber mają najwyborniejszy na świecie.

Zamilkł, kiedy tylko popatrzył na minę Zenka i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, jaki straszny i niewybaczalny błąd popełnił. To było oczywiste, że nigdzie, a przynajmniej nie w najbliższej okolicy, nie było lepszego bimbrowa od tego, który pędził Zenon. I nie wolno było w jego obecności w ogóle wspominać o jakimś innym trunku. To była niepisana zasada, której wszyscy klienci *Atelier u Józka* musieli przestrzegać. W przeciwnym razie czekał ich dozgonny foch samego Zenka, stanie na końcu każdej kolejki i bycie ostentacyjnie

ignorowanym przez co najmniej kilka dni. Na szczęście dla Stefana, Zenek jakby zupełnie nie usłyszał tego, co jego najlepszy klient właśnie mu oznajmił. Martwił się bowiem czymś zupełnie innym – jakim cudem komukolwiek udało się wśliznąć zupełnie niepostrzeżenie i dosłownie zagrabić część jego rynku. To dopiero był niewybaczalny błąd i Zenek zamierzał jak najszybciej dopaść winnego. A jak już go dopadnie, to wtedy sobie z nim poważnie porozmawia. Lokalny rynek bimbrowy należał do niego i tak miało pozostać.

– Stefan – Zenek pochylił się w stronę klienta i ściszył głos do konspiracyjnego szeptu – będziesz moją wtyczką i wywiadowcą w tej wojnie. A teraz się skup, bo masz misję do wypełnienia.

Stefan wyprężył się jak struna.

– Mów, kierowniku, mów. Dla kierownika to ja się nawet dam pokroić.

– Bez przesady, Stefan. Mówimy tu o bimbrze. Bohaterem to ty jednak nie będziesz. Musisz mi tylko przynieść butelkę tego trunku spod lasu i nie gadać o niczym swoim kumplom od flaszki. Ot, cała filozofia.

Ze Stefana Hurtownika jakoś natychmiast zeszło powietrze.

– Ale jak to: przynieść butelkę? Przecież to prawie zdrada stanu. A już na pewno porządna niegodziwość. Nie zdradzę kierownika.

– Dobra, dobra, stary żulu. Doskonale wiem, że chlejesz na dwa fronty i już nie raz próbowałeś tamtego towaru. Załatwisz mi czy mam zatrudnić kogoś innego? Po ile oni tam mają ten bimber?

– Po dwie dyszki za sztukę. – Stefanowi wyraźnie się wyrwało bez zastanowienia, ale kiedy zorientował się, że po raz

kolejny sprzedał własną tajemnicę, zakrył dłonią usta. – Ale kierowniczku kochany, ja nie chciałem przecież. Musiałem sprawdzić, czym trują ludzi, żeby przestrzec innych.

Zenek przewrócił oczami.

– Nie wydurniaj mi się tu. Masz dwie dychy i widzę cię za godzinę z powrotem z towarem. – Sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej dwudziestozłotowy banknot. – I nie wychlej wszystkiego po drodze.

– No co kierownik. Byle czego nie piję.

– Stefan, do cholery. Skończ już to pieprzenie. Idź mi stąd, zanim stracę cierpliwość. I za godzinę chcę mieć na stole bimber od konkurencji. Jasne?

Stefan Hurtownik zasalutował niedbale.

– Jasne, kierowniku, już lecę.

– Nowy bombelek w naszej bombelkowej rodzinie! Super!
– krzyknęła Mariolka, celowo podkreślając to nieszczęsne „OM”, które na każdym kroku wszyscy im wytykali.

To miał być językowy żart, a wyszło z tego niezłe utrapienie. Rodzice, zwłaszcza ci, którzy widzieli siebie w wyższych sferach, z nieodłącznymi okularami na nosie, mimo że nie cierpieli na żadną wadę wzroku (wszak okulary dodają inteligencji) nie omieszkiwali zwracać uwagi, że *bombelek* to się akurat pisze zupełnie inaczej. I że doprawdy nie sądzą, czy osoba, której nie po drodze z poprawną polszczyzną, powinna zajmować się ich genialnym od urodzenia Fabiankiem czy innym Xaverym. Inni z kolei stwierdzali, że to w sumie nawet śmieszne, ale profesor Miodek pewnie by był zmuszony niejednokrotnie zazgrzytać zębami. Tak czy inaczej, nazwa

agencji wywoływała zwykle więcej emocji niż sama firma, która poziom trzymała naprawdę wysoki.

Tak czy inaczej, Mariolka była dumna i z nazwy i ze swoich ulubionych współpracownic. A teraz tym bardziej ucieszyła się na wieść o kolejnej ciąży sąsiadki. Zupełnie przeciwnie do samej Aldony, która od kilku dni chodziła rozklejona jak trampki po deszczu.

Siedziały w agencji w swoim ulubionym kącie, w mięciutkich fotelach i z parującą w kubkach herbatą. Lubily takie popołudnia, kiedy już wszystkie nianie skończyły swoją pracę i telefon nareszcie przestawał dzwonić.

– Mariolka, ja cię błagam, nie ciesz się tak, bo naprawdę nie ma z czego się cieszyć. Mam czterdziecę na karku, jestem stara i zmęczona. I chcę odpocząć, a nie zajmować się kolejnym dzieckiem.

Elwira, siedząca w fotelu obok tylko parsknęła cicho.

– Ale ty głupoty opowiadasz. Jaka stara? Przecież czterdziestka to jeszcze nie koniec świata, a poza tym Franek jest całkiem mały, więc jak to młode podrośnie, to dzieci będą bawić się razem. Wymarzona sytuacja, no chyba że masz ją razy dwa w tym samym czasie. To wtedy nie. – Zaśmiała się cicho.

Aldonie zrobiło się głupio. Nie powinna narzekać, zwłaszcza w obecności Elwiry. Nie знаła nikogo, kto by w jakiś sposób nie współczuł jej i Krzyškowi. Dziewczynki były rzecz jasna rozkoszne, ale doprawdy trudno było sobie choćby wyobrazić opiekę nad taką gromadą. Tak naprawdę Aldona nie umiała wyobrazić sobie opieki nad dwójką, w tym noworodkiem, a co dopiero nad rozbrykaną czwórką.

– Przepraszam, nie chciałam wyjść na histeryczkę, ale naprawdę nie tak to miało wyglądać. – Aldona schowała

twarz w dłoniach. – Planowaliśmy ze Szczepanem, że trochę odżyjemy, odchowamy Franka i będzie spokój. W tym wieku nie planuje się kolejnego powiększania rodziny.

– No i odżyjecie przecież – wtrąciła się Mariolka. – Nikt nie powiedział, że z małymi dziećmi nie można normalnie żyć. Poza tym masz nas. Tyle razy proponowałam, że możecie dostać opiekunkę. W końcu takich u nas nie brakuje. Zresztą zobacz, jak to fajnie działa u Elwiry.

To była absolutna prawda. Elwira mogła pracować tylko dlatego, że dwie z ich niań na co dzień zajmowały się dziewczynkami. Na początku były nawet trzy, ale z czasem dwie ogarnęły wszystko na tyle, by spokojnie sobie poradzić. Elwira mogła pracować i odpoczywać, wracała do domu stęskniona, a dziewczynki doskonale dogadywały się z nowymi ciociami.

Aldona tak nie chciała. Uważała, że Franek jest jeszcze za mały, żeby oddawać go pod opiekę obcej, bądź co bądź, osoby. Poza tym widziała, że zajmowanie się synem sprawiało Szczepanowi dużo radości. Ale teraz wszystko miało się zmienić, bo Franek dorósł do niani (a właściwie to Aldona dorosła do podjęcia decyzji), a Szczepan miał w końcu wrócić do jakiegoś płatnego zajęcia.

Niestety, plan po raz kolejny wziął w łeb i to w najmniej oczekiwanym momencie.

– Nie wiem, czy mnie na to wszystko stać. I mówię całkowicie serio. Nie mam siły na kolejne dziecko.

– A ja ci mówię, żebyś przestała jęczeć. Wykarmiłaś jedno, to i wykarmisz drugie. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile drzemie w nas pokładów energii, sił i cierpliwości do własnego potomstwa. Przecież gdyby chodziło o Krzyśka, już dawno popełniłabym jakąś małą wyszukaną zbrodnię,

tak mi czasami działa na nerwy, a do dziewczynek cierpliwść znajduje mi się sama. I to zwykle w nadmiarze.

– Wykarmię, jasne. Czym niby wykarmię? Tym? – prychnęła Aldona i złapała się za biust. – Już nawet nie marzę, żeby to jeszcze kiedyś było jędrne. Franek godnie się nimi zaopiekował. Zostały mi dwa smutne bassety do samego pasa. A sutki mam wyciągnięte jak wentyle od stara. Tym to ja już na pewno nikogo nie wykarmię.

Mariolka z Elwirą zgodnie parsknęły gromkim śmiechem. Aldona wyglądała żałośnie w tej swojej panice, ale jednocześnie obie doskonale wiedziały, że i tak weźmie się z życiem za bary i spokojnie da radę. Bo w końcu kto miał dać, jak nie ona? Nie bez przyczyny się przyjaźniły. Twarde babki zawsze trzymają się razem.